Nr. 12. Lwów, Niedziela dnia 18. Listopada 1877 r. **Tom VI.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 4 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

O METODZIE TRAKTOWANIA SPRAW LUDOWYCH.

III.

Środki.

Wymieniliśmy poprzednio rozmaite rodzaje pracy organicznej, jakie wchodzić powinny w program usiłowań, mających na celu szerzenie zdrowej cywilizacji pomiędzy ludem. W niniejszym artykule zastanowimy się nad tem, jakie środki są do rozporządzenia dla osiągnięcia owych celów? Z przeglądu tego przekonamy się, że więcej jest sił już istotnie zajętych pracą nad dobrem ludu, niż zazwyczaj przypuszczamy, i że jeżeli tego rodzaju usiłowania nie okazują się dotychczas tak skutecznemi, jakby tego sobie życzyć można, to ztąd pochodzi, iż nie ma dotychczas żadnej łączności pomiędzy czynnikami pracującymi na tem polu, nie ma systemu w ich usiłowaniach, praca prowadzi się bez planu. Na polu pracy nad oświatą ludową jeden tylko napotykamy element we wschodniej części kraju, który dokładnie sobie nakreślił cele swoich dążności, działa systematycznie — i nie bez skutku. Są to mianowicie żywioły, objęte ustrojem stowarzyszenia imienia Michała Kaczkowskiego, liczącego obecnie około 7000 członków, z redaktorem *Słowa* p. Płoszczańskim, jako prezesem na czele, rozporządzającego dochodami funduszu żelaznego wynoszącego około 40.000 złr. w. a., którego organem jest nader zręcznie przez ks. Jana Naumowicza kierowane agitacyjne czasopismo p. t. *Russkaja Rada*. Pismo to jest rozszerzane między ludem po największej części bezpłatnie w tysiącach egzemplarzy, a po kilkanaście broszur co roku, usiłuje ono dla pewnych widoków politycznych pośrednio wyzyskać walkę przeciwko opilstwu ludu przez opanowanie cerkiewnych bractw wstrzemięźliwości.

Przykład działań stowarzyszenia imienia Kaczkowskiego przytoczyliśmy tu nie dla polemiki. I owszem, każdy nieuprzedzony bez różnicy przekonań, uznać musi z hołdem należnym podniosły cel istnienia tej instytucyi, jakkolwiek ubolewać nad tem potrzeba, iż niepotrzebnie mąci jego działalność polityka. Przez to wznieca się bowiem kontragitacya, szkodliwa dla zadań tej pięknej instytucyi głębszych i trwalszych, niż przemijające cele polityki bieżącej.

Zapatrując się jednakże na zadania prac cywilizacyjnych nad ludem ze stanowiska wyższego niż wszelkie programy stronnictw politycznych, socyalnych lub religijnych, tj. wychodząc ze stanowiska, iż lud oświecony, pracowity, trzeźwy i zamożny zarówno jest pożądanym dla wszystkich bez wyjątku stronnictw, wymienić możemy następujące czynniki jako te, które z pożytkiem pracować mogą, a w znacznej części pracują już nad szerzeniem oświaty pomiędzy ludem lub nad podniesieniem jego dobrobytu.

Na pierwszem miejscu postawić tu wypada duchowieństwo jako żywioł oświecony, który wywierać może bezpośrednio najskuteczniejszy wpływ na umysły ludu. Duchowieństwo ma też w tem ważny interes własny, ażeby nie utraciło wyrabianego kilkowiekowemi usiłowaniami wpływu swojego na lud. Na zajmowanem dotychczas stanowisku społecznem — stanowisku, które, jak wiadomo, z wielu stron narażone jest na silne ataki w nowszych czasach, zdoła ono tylko przez to utrzymać się, jeżeli idąc za starodawnemi, lepszemi tradycyami kościoła, światło cywilizacyi zdrowej nieść zechce pomiędzy ciemne masy ludowe. Pod względem wpływu na lud duchowieństwo stanowczo góruje dotąd nad wszystkimi przeciwnikami swoimi, i można powiedzieć, iż praca nad duchowym rozwojem mas ludowych to niemal jedyne pole, na którem duchowieństwo opierać się może ze skutkiem jeszcze bardzo długo tym wpływom potężnym, które starają się, ażeby historya cywilizacyi narodów przeszła nad religią do porządku dziennego. Aby jednakże utrzymać się w swej roli, musi duchowieństwo pracować, gorliwie pracować. Wtedy bowiem najzawziętszy niedowiarek umilknąć będzie musiał wobec rezultatów tej pracy. Polemiką zaś duchowieństwo nie obroni na długo swojego znaczenia społecznego.

Drugim elementem, najskuteczniej działać mogącym na lud, są sąsiedzi włościan, klasa oświeconych rolników, „chłopi w surdutach,“ jak ich ktoś raz trafnie nazwał — mianowicie mieszkańcy dworów wiejskich. O cywilizacyjnym wpływie dworu na wsi nie widzimy potrzeby szerzej rozwodzić się; trudno byłoby coś nowego w tej materyi powiedzieć.

Trzecim młodym jeszcze, ale potężnie rozkrzewiającym się czynnikiem cywilizacyjnym, którego wpływ głęboko sięgać może w masy ludowe, jest zastęp nauczycielstwa, liczący już w naszym kraju kilka tysięcy głów. Z każdym rokiem potężnieje ten nowy zastęp pionierów oświaty w liczbę — wzrasta też i w siłę moralną. Stoi przed nim wielka przyszłość, a nauczycielstwo nasze świadome jest obowiązków swoich społecznych, świadome jest odpowiedzialności, jaką te wzniosłe obowiązki za sobą pociągają...

Czwartym czynnikiem pracy na polu cywilizacyi ludu, czynnikiem nie dość cenionym dotychczas, jakkolwiek znaczenie jego jest bardzo doniosłe, są władze autonomiczne. Ustawy wkładają bowiem na te władze *obowiązek* czuwania nad dobrem ludu; z urzędu muszą one na tem polu pracować. I zaprawdę, kto miał sposobność bliżej przypatrzyć się działaniu tychże władz, ten przyznać musi, że skuteczność ich wpływu na nasze stosunki społeczne jest o wiele większą, niż o tem z pozorów przyzwyczajono się sądzić.

Państwowe władze administracyjne i sądowe, o ile są piastowane przez urzędników duchem obywatelskim natchnionych i światłych, wpływają także nadzwyczaj skutecznie na umoralnienie i podtrzymywanie materyalnego dobrobytu ludu — tak, jak znowu z drugiej strony urzędnicy, wrogo dla kraju usposobieni, wiele niegdyś zepsuli w naszym ustroju społecznym, wskutek czego łączy się ze wspomnieniem ich nierozdzielnie piętno hańby wieczystej.

Piśmiennictwo — w całej rozciągłości swojej, bądź to w formie popularnych publikacyi książkowych lub peryodycznych pism, przeznaczonych do bezpośredniego użytku dla ludu, bądź też przez czasopisma i książki przeznaczone dla

klas oświeceńszych, może niezmiernie doniosłe oddać usługi sprawie ludowej. Wpływ piśmiennictwa na tok spraw, odnoszących się do oświaty i ekonomicznych interesów ludu bardzo rzadko bywa należycie oceniany: jedni nadzwyczaj i zbyt przesadne przypisują znaczenie drukowanej propagandzie, jak gdyby ona była wszystkiem, inni zaś nie mają jej za nic. I jedni i drudzy są w błędzie, gdyż i tu, jak w wielu innych rzeczach, prawda leży pośrodku, mianowicie znaczenie piśmiennictwa w traktowaniu spraw ludowych nie jest wszystkiem, lecz bądź co bądź zaprzeczyć mu nie można wielkiej doniosłości, jako jednemu z najskuteczniejszych czynników cywilizacyjnych po wszystkie czasy.

Odsłoniliśmy w całej rozległości ogrom zadań, objętych wyrazem pracy nad ludem. Lecz i siły, jakie do tej pracy użyte być mogą, *byle były zszeregowane należycie, i działały z planem*, stanowią potęgę wielką.

KRWAWE ZNAMIĘ.

POWIEŚĆ

przez

J. J. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Czy Spytkowa o tych podaniach nie wiedziała, czy je lekceważyła, różnie sądzono; ale dwór pamiętał to, że kasztelanic Iwo niegdyś się o nią starał, a opinia jaką miał oddawna w okolicy, samego zbliżenia się jego do pani, do Mielsztyniec, do Eugenka, obawiać się już kazała. Nic ztąd dobrego wyniknąć nie mogło; dla wielu dość było nazwiska Jaksy, ażeby w tem dojrzeć karę Bożą.

Tymczasem chłopak pędził do Rabsztyniec z ciekawością, młodemu wiekowi właściwą. Wyobrażał on je sobie gryfiem gniazdem rozwalonem, jak je sam pan nazywał, ale nigdy tak straszliwą ruiną. Na widok tych gąszczów, tych zwalisk, błota i śmieci, wychowaniec zbytku był prawie przelękły. Zsiadł z konia na ścieżce, a zaraz też i gospodarz zjawił się, jakby na niego oczekiwał, nie ów strojny gość zamku, ale odarty i zaniedbany, z najeżonemi włosami, błędny rycerz jakiś z uśmiechem ironicznym na ustach. Powitał on Eugenka jakoś szydersko, i zamiast go poprowadzić do mieszkalnego skrzydła, jął go obwodzić po gruzach, zdając się mieć w tem jakąś gorzką przyjemność, że się przed nim chlubił swym upadkiem i nędzą.

Naostatek poszedł z nim do kaplicy grobowej, a gdy Eugeniusz przelękły poglądał na powywracane trumny, rzekł z wyrazem prawie okrutnym:

— Pamiętaj pan coś dziś widział... jest to widok nauczający. Któż wie? — dodał dziko... — dziś to los Jaksów, jutro być on może choćby Spytków losem. Bóg wielki, sprawiedliwość nieubłagana... losy nieprzyzwyciężone, a ludzie są znikomi i słabi.

W młodzieńcu zadrgała duma i krew starej rodziny zakipiała, pierwszy raz uczuł wstręt do tego człowieka, którego był tak gwałtownie ukochał. Zdziwili się Iwo i Zaranek, gdy Eugenek odpowiedział na to:

— To pociesza, że w świecie nic nie jest wypadkiem, wszystko sprawiedliwością.. Trzeba kochać, przebaczać i... spać spokojnie.

Nie byłoby może nic dziwnego w tem przemówieniu Eugeniusza, który często objawiał zdania dojrzalsze nad wiek swój, ale gdy to mówił, głos jego się zmienił... spoważniał, można było powiedzieć, zestarzał. Kasztelanic drgnął mimowoli, zamilkł i wyszli z grobowej kaplicy, w zupełnie innych stosunkach, niżeli do niej przybyli. Eugeniusz co najrychlej chciał powracać, znienawidził kasztelanica; zaprosił go wedle rozkazu matki, ale gdy tylko dozwoliła przyzwoitość, opuścił Rabsztyńce, dając sobie słowo, że w nich więcej noga jego nie postanie.

Tego skutku niktby się był nie mógł spodziewać. Z żywością, wróciwszy, opowiedział matce swe odwiedziny, nie kryjąc uczuć, jakie one w nim wzbudziły. Pani Spytkowa popatrzyła na syna zdziwiona nieco, i poraz pierwszy w mowie, głosie, charakterze, który się objawił, poznała w nim nieboszczyka. Brew tak marszczył jak on — mówił krótko, stanowczo — był prawdziwym Spytkiem, tak że prawie się go ulękła.

Łagodnym głosem wykazała mu jego lekkomyślność, przypomniała jak bez przyczyny i bez jej wiedzy pokochał się w tym nieznajomym, jak teraz nagle się odstręczył, — obie rzeczy uznając za pospieszne. Eugeniusz przyjął uwagę matki z pokorą, ale na twarzy jego znać było, że pozostaje przy swem zdaniu i uczuciu.

Nazajutrz z południa zaproszony kasztelanic przyjechał. Młody chłopak przyjął go grzecznie, ale z widocznym chłodem, a wprowadzając do sali, rzekł:

— Widzę, że i pan dziś z ciekawością oglądasz nasze pamiątki rodzinne. W istocie, warte są one widzenia i poszanowania. Gdybyśmy wierzyli, że nic się nie dzieje bez przyczyny, że nic nie trwa bez zasługi i nie ginie bez winy, musiałbym wnioskować, że rodzina Spytków ma swe zasługi.

Była to dumna, dziecinna odpowiedź na ową lekcyą w grobowej kaplicy. Kasztelanic bystro, z góry spojrzał na młodego chłopaka i odparł z uśmiechem ironicznym:

— Niezawodnie, tych jej nie zaprzeczam.

Tem obojętnem słowem zamknął mu usta, ruszył ramionami i więcej się już do niego z rozmową nie zwracał.

W sali czekała na nich Spytkowa, a po twarzy jej, zawsze pogodnej i równie surowej, nie było można poznać, że przybyły uczynił na niej jakiekolwiek wrażenie. Przywitała go zimno, była panią siebie, wydawała się nawet od ostatniej rozmowy ostygłą i zobojętniałą. Zdaje się, że umyślnie kazano podać podwieczorek w altanie ogrodowej, aby w czasie przechadzki więcej mieć swobody do niepostrzeżonej rozmowy, która dosyć długą być miała. Jakby naumyślnie złożyło się to ze złym humorem Eugeniusza, który kasztelanica porzucił wprędce i zajął się cały gorącą rozprawą z p. Zarankiem o dziele Buffona, które właśnie razem czytali. Poszli przodem ulicą, zostawiając panią Brygitę z jej towarzyszem, a ten zaledwie ujrzał się z nią sam na sam, natychmiast z tego korzystając, zwrócił się do niej i rzekł:

— Jestto więc jedyna chwila w życiu dana mi na wytłumaczenie się z przeszłości. Korzystam z niej, bo i ja mam prawo żądać wysłuchania, choć zawczasu potępiony. Wyrok może pozostać takim, jakim był napisany przed dwudziestu laty... idzie mi tylko o to, bym się przedśmiertną oczyścił spowiedzią...

Pani Spytkowa nie odezwała się słowem, patrzyła w ziemię idąc powoli, a Jaksa mówił ciągle:

— Nie wiem, czy potrzebuję pani przypominać te dzieje, o których mnie dziś zimno jeszcze i obojętnie mówić niepodobna. Pamiętasz pani, żem powrócił z pierwszej podróży pełen życia i młodości. Żył jeszcze wówczas dogorywający mój ojciec. Staliśmy z nim razem na krawędzi przepaści, która dla mnie była zakrytą. On ją już widział, czuł raczej oddech jej pod sobą; całą jego nadzieją byłem ja; jam miał podnieść i dźwignąć starą tarczę Gryfów, aby się nie strzaskała na wieki... Ale mnie naówczas rodzina, jej losy, jej sława, jej wielkość były obojętne zupełnie — ja tylko żyć i być szczęśliwym pragnąłem. Naówczas to, objeżdżając sąsiedztwo, pierwszy raz zajechałem do domu waszego rodzica, i zobaczyłem —, panią. Pamiętam jeszcze dziś tę chwilę, bo była stanowczą dla mnie; zostałem oczarowany, podbity — wyjechałem od was oszalały. Zapomniałem o wszystkiem, pragnąc się tylko zbliżyć do was. Wszystko zdawało się nam sprzyjać w początku; ojciec wasz był mi przychylnym... wy... — mamże i to przypomnieć — ż· serce wasze pierwszy raz w życiu biło dla mnie? żem je pozyskał, żem słuchając jego uderzeń, spędził jedyne chwile szczęśliwe, których wspomnienie całe życie mi truć miało?... Mogę powiedzieć, że byliśmy oboje szczęśliwi; z młodością w sercach, z marzeniem w głowach, z piosenką na ustach, z wiarą w siebie i przyszłość przebyliśmy aż do tej chwili, gdy po raz pierwszy na progu waszego domu zjawił się ów nienawistny Spytek...

Wdowa spojrzała nań groźnie.

— Dlaczego się mam taić z tem, co czuję? — podchwycił Jaksa. — Tak, choć umarł, był i jest mi nienawistnym... i będzie nim... Przychodził z bogactwy, z imieniem, jak handlarz, podkupić mnie, który przynosiłem tylko serce i ubóstwo ciężkie do dźwigania. Zdaje mi się, że gdy się zjawił, już losy nasze były rozstrzygnięte.

Pani Spytkowa uśmiechnęła się pogardliwie, spojrzała dumnie i szepnęła:

— Mylisz się waćpan... ojciec nie byłby mnie zmusił do mimowolnego małżeństwa, bo ja tylko sobie przyznaję prawo rządzenia sobą. Nic mnie nie mogło skłonić do przeniewierstwa i fałszu, do przysięgi na zimno... Waćpan sam pchnąłeś mnie i zmusiłeś do tego kroku, który opłaciłam życiem.

— Ja? — pochwycił Iwo — ja?.. Nie! pozory omyliły was... Byłem i jestem niewinny... posłuchajcie mnie do końca... Ojciec mój był naówczas już chory i dogorywający; dobiło go to, że przewidywał nieuchronny upadek rodziny, a czuł iż ja nie zniosę cierpliwie nędzy i upokorzenia. Doszły go wieści o moich częstych do domu waszego wycieczkach... dwa ubóstwa przera-

żały go... Nie chciał tego małżeństwa, nie taił tego bynajmniej przedemną. Kochałem ojca, ale byłbym się mu oprzeć potrafił, gdybym go na śmiertelnem łożu nie zastał. Znalazłem go zmienionym straszliwie, zeschłym, zniszczonym gorączką wewnętrzną. Ledwiem na próg wszedł, jak gdyby się lękał, że mu czasu zabraknąć może na pohamowanie mnie i obrócenie mną wedle swej woli, schwycił mnie za ręce, posadził przy sobie, odegnał wszystkich... i począł tę straszną spowiedź swojego życia i historyą rodziny, która i silniejszego odemnie złamaćby musiała. Był nielitościwym dla siebie, oskarżał się, płakał, winę teraźniejszości brał całą na stare barki... Począłem płakać z nim razem. Cóż chcesz pani, byłem młody, serce żyło jeszcze we mnie i kochałem ojca. Człowiek ten prócz tego dla obcych nawet miał dar przekonywania i urok ogromny słowa, cóż dopiero dla syna, gdy słowom tym towarzyszyło łkanie, gdy po za niemi widać było i czuć śmierć nadchodzącą, gdy uroczysta godzina konania namaszczała go na patryarchę... (C. d. n)

NA RZECE PUERKO,

WSPOMNIENIE Z KALIFORNII

przez

KALIKSTA WOLSKIEGO.

(*Dokończenie*).

Teraz wróćmy choćby tylko na chwilę do bohaterów tego opowiadania, naszych znajomych, Adolfa Parot i Stefana Godel.

Pierwszy z nich udawał zrazu zucha, lecz widząc prawdziwe niebezpieczeństwo grożące wszystkim, a tem samem i jemu, zaczął się obawiać skutku niewytłumaczonego szaleństwa.

U drugiego od samego początku wyścigów przestrach wzrastał z każdą chwilą, a przeraźliwy łoskot, pochodzący ze zdruzgotania skrzydła Oregon'u, wprawił go w prawdziwe odrętwienie i bezwładność przez chwil kilka. Schroniony na samym tyle okrętu, pewnym będąc, iż kocioł pęknie lada chwila, zdjął buty i wierzchnie ubranie, aby być gotowym skoczyć do wody za najmniejszą oznaką niebezpieczeństwa. Gdy zatem ów łoskot dał się słyszeć, przełożył już jednę nogę przez galeryjkę żelazną, która otacza wierzchni pokład każdego okrętu, i chciał skakać, lecz myśl, iż musiałby dla możności pływania pozbyć się pasa ze złotem, które stanowiło cały jego majątek, wstrzymała go od tego desperackiego kroku. Co za fatalna pozycya, pomyślał w tej chwili, być zmuszonym dla ocalenia życia stracić całe swoje mienie.

Druga jeszcze okoliczność zreflektowała go w owem roztargnieniu, pochodzącem z wielkiego przestrachu i nie pozwoliła mu dokonać zamierzonego skoczenia w rzekę. Spostrzegł on pędzący Oregon tuż tuż za statkiem, na którym się znajdował. Pomiarkował, iż pewnie nie zatrzyma się w swym szybkim biegu dla ocalenia jednego płynącego człowieka i zgruchoce go swym ciężarem. Pozostał więc nieruchomy i czekał, co się dalej stanie, lecz uczuł potrzebę wypowiedzenia całej litanii przekleństw na tych wszystkich, co byli przyczyną tak okropnych wzruszeń, jakie od początku gonitwy dwóch statków nim miotały, ale bojaźń kłótni z pijanymi Amerykanami, którzy w podobnych razach nie wahają się używać noża lub rewolweru, zamknęła mu usta i odrętwiła język. A jednak czuł, iż coś nadzwyczajnego działo się w jego umyśle.

Obydwa statki posuwały się po rzece z nadzwyczajną szybkością, - rury z grubej czarnej blachy, służące za kominy machin parowych, rozpalone były do czerwoności, a kolor ten przy zupełnie ciemnej nocy oświecał, jakby jakie latarnie, wszystkich, co stali na pokładach, orgia pijaństwa i z tego pochodząca egzaltacya doszła do najwyższego stopnia. Walka miała się stać straszniejszą, niż dotąd była. Pęknięcie jednego, a może w tym samym czasie i drugiego kotła, sprawiłoby straszliwą katastrofę, nieunikniona śmierć dla wszystkich wisiała tylko na włosku.

Patrzącemu z boku i z zimną krwią na ten dziwny i szalony obraz przyszłoby mimolnie na myśl zapytanie: Czy żaden ze znajdujących się tam, nie ma matki, żony, siostry, ojca, brata?

Pomimo wrodzonej odwagi i zimnej krwi, Adolf Parot uczuł, iż serce zaczynało mu bić gwałtownie. Naśladując swego tchórzliwego towarzysza i wspólnika, zdjął buty, zrzucił cięższe ubranie, a umieściwszy się z daleka od kotła, oczekiwał, co się dalej stanie.

Orgia nietylko nie ustawała, ale przybierała coraz większe rozmiary. Wyniesiono na pokład dwie baryłki spirytusowych napojów i kto chciał, ten czerpał w nich, co mu się podobało Ci co mieli mocniejsze głowy, trzymali się jeszcze jako tako na nogach, drudzy nie mogąc ustać, pili na klęczkach, inni z najsłabszemi głowami poupadali zupełnie martwi, a że zawadzali tym, co mogli jeszcze chodzić, rozprawiać i krzyczeć, popchnięto ich nogami na bok, aby nie przeszkadzali kręceniu się służbie okrętowej.

U nóg maszynisty złoto jak grad padało, w tej chwili u Adolfa Parot dziwny jakiś fenomen się objawił. Widząc wszystkich pasażerów Nebraska biegających, krzyczących, pijących, uczuł w sobie chęć kręcenia się, skakania, rozprawiania... Jednem słowem, gorączkowe szaleństwo otaczających opanowało go mimowolnie. Chciał się temu oprzeć, ale napróżno.

Wrzask i ruchliwość tych wszystkich szaleńców, kręcących się po pokładzie okrętu oświeconego przez rozpaloną do czerwoności rurę komina, wpośród panującej naokoło strasznej ciemności i ponurej ciszy, były dla niego zarażliwemi. Nieznane mu dotąd wrażenia działały na umysł jego; nogi prawie same się poruszały, jakby po jakiejś skocznej muzyce... w rysach twarzy malowała się dziwna niespokojność... chciał krzyczeć, lecz krzyk zamarł w gardle. Spojrzał na swego towarzysza Stefana, który śledząc pilnie postęp orgii i strasznego, nieuniknionego następstwa, przestał się już bać i z zimną krwią oczekiwał śmierci. Zadrżał, gdy zobaczył w nim tę obojętność, a dla nadania sobie odwagi, nalał pełen kieliszek wódki, wypił połowę, resztą potarł sobie skronie, czoło i pulsa u ręki, i to go chwilowo uspokoiło.

Oregon doganiał wyraźnie Nebraska, i kilka już chwil płynął w równi. Na ostatnim tym statku było zaledwie czterdziestu pasażerów, trzymających się jeszcze na nogach, i których te wyścigi mogły obchodzić, wszyscy bowiem inni leżeli bez ducha na pokładzie.

Teraz nadchodziła pora, w której pierwszeństwo jednego z dwóch statków w tej gonitwie nocnej miało się stanowczo zdecydować... Oregon, używszy wszystkich swoich sił, posunął się naprzód i zdołał prześcignąć swego współzawodnika z wielką radością i szyderczym śmiechem pasażerów, co na nim jechali. Ci zaś, którzy się znajdowali na Nebraska, zaryczeli ze złości i straszne przekleństwa wydobyły się z ich ust.

— Do wszystkich tysięcy kaduków — wrzasnął po francusku jakiś głos aż chrypliwy ze złości — czyż mamy być pokonani przez tak nędzne statczysko, jak Oregon!

Adolf Parot zadziwił się niepomału, usłyszawszy ten piorunujący wykrzyknik. Poznał bowiem głos swego tchórzliwego towarzysza Stefana Godel, który poruszony nerwowym wpływem, jakiemu on sam przed chwilą uległ, wdział buty i okrycie wierzchnie, jakie dotychczas trzymał w ręku, i wmięszał się, nie wiedząc pewnie dla czego, w zgiełk i orgię, które panowały na pokładzie okrętu. Przyskoczył Stefan z wściekłością do maszynisty i obrzucał go najstraszniejszemi obelgami za to, że się dał wyprzedzić współwyścigającemu się Oregon'owi.

Lecz w tejże chwili, kiedy Stefan Godel wymyślał maszyniście, kilkanaście głosów rozpaczliwych z przekleństwami rozmaitego rodzaju odezwało się na pokładzie Nebraska. Pochodziło to nadzwyczajne zamięszanie i przekleństwo z powodu, iż zabrakło na statku Nebraska materyału palnego do podniecania ognia w kotle, a zatem maszynista nic nie był winien, iż dał się wyprzedzić swemu współzawodnikowi.

Wierzchołek komina był tak silnie rozpalony, iż znacznej wielkości kawałki rury odszczepiły się i z łoskotem spadły na pokład, gdzie wpajając się w drzewo, zapaliły je i sprawiły początek pożaru na statku. Nikt nie miał przytomności ratować, a jednakże rzecz dziwna i wiadoma tylko samemu Panu Bogu, który czasami proteguje szaleńców, jakim sposobem ten pożar nie ogarnął całego statku i dla czego tenże nie zgorzał.

Gdyby Stefan Godel był usłyszał, że zabrakło materyału palnego do owego szalonego podsycania maszyny parowej wówczas, gdy stał na tylnej części okrętu i z nieokreśloną bojaźnią przypatrywał się szalonej orgii; byłby pewno padł na kolana, dziękując Bogu za to, iż niebezpieczeństwo wysadzenia okrętu w powietrze ustało z tej przyczyny. Lecz teraz, gdy gorączka panująca na całym pokładzie ogarnęła go mimowolnie i jakoby upoiła go, już było za późno.. Teraz jedyna chęć w nim zawrzała, to jest: zwycięztwo w gonitwie statku, na którym jechał. I rzecz prawie nie do uwierzenia, że to właśnie z jego przyczyny, Nebraska mógł jeszcze jakiś czas walczyć o pierwszeństwo ze swym współzawodnikiem.

— Nie ma więcej drzewa — wrzasnął zrozpaczony Stefan Godel i chwyciwszy za siekierę, zaczął rąbać Ruffle (domek stojący na przodzie wierzchniego pokładu, gdzie się mieści kuchnia i stancyjka, służąca dla pasażerów drugiej klasy.) Była to myśl prawdziwie na czasie i dowcipna, a pijane otoczenie chciało go za to nosić w tryumfie po pokładzie, lecz nie było czasu, każdy złapał jakiekolwiek narzędzie służące do druzgotania, do niszczenia, i w kilka minut cały domek drewniany był już w ogniu.

Ale cóż mogły znaczyć te nędzne kilkaset cienkich tarcic, które pochodziły z rozebranego rufflu, dla podniecania tak wielkiego ogniska, jakiego potrzeba było do zasilania i porusza-

nia machiny parowej. W krótkim bardzo czasie spaliły się one i wypadało znowu wynaleźć coś innego.

Ciekawem widowiskiem było, jak ów blady, mizerny, mały, dotychczas zupełnie trzeźwy Francuz, uwijał się skrzętnie w pośród wszystkich pijaków, wyszukując, coby mógł jeszcze porąbać dla zasilenia ognia. Podskoczył więc do budki, stojącej na tylnej części okrętu, w której sternik obraca kołem nadającym dyrekcyę statkowi i chciał równie jak ruffle, porąbać ją dla wrzucenia w kocioł, lecz kapitan, chociaż tak jak inni pijany i zaledwie trzymający się na nogach, założył silną opozycyę i tłumaczył, iż nie może pozwolić na porąbanie całego swojego okrętu, dla tego, aby sama maszyna z kotłem dojechała do miejsca przeznaczenia, oświadczył przytem, że ma lepszą ideę, którą podaje pod rozwagę pasażerów.

Zaproponował on (kapitan), i prawdziwie, trzeba było chyba być w malignie, aby w głowie powstać mogła myśl podobna—wrzucać do kotła naczynia blaszane, napełnione kamfiną (naftą), które się znajdowały w składzie będącym na spodzie okrętu. Ani jeden z pasażerów nie zaprotestował przeciwko tej dzikiej myśli, bo ani jeden nie był przy zdrowych zmysłach i nie rozważył, że ta czynność grozi wszystkim nieochybną śmiercią. Przeciwnie rzucili się wszyscy do składu i z gorączkową niecierpliwością wydobywali i wynosili ztamtąd puszki blaszane napełnione kamfiną, wrzucając po kilka na raz do ogniska.

Było to niezaprzeczenie widowisko nadzwyczajne. Płomień, buchający nieustannie z rury machiny parowej okrętu Nebraska, wlókł za sobą ogon ognisty pomięszany z czarnym dymem, co wśród ciemnej nocy wyglądało jakoby jakieś zjawisko piekielne, chcące nastraszyć mieszkańców ziemi. Oregon mógł jeszcze być zwycięzcą, lecz najniezawodniej jego współzawodnik Nebraska, gdyby nawet, jak to było do przewidzenia, wyleciał w powietrze, upadłby z honorem.

To też Nebraska wkrótce prześcignął swojego współzawodnika w tej dzikiej walce. Na pokładzie tego ostatniego zadziwienie, połączone z wściekłością, opanowało wszystkich pasażerów. Kapitan, który liczył na brak materyału palnego u swego rywala — a w tem mniemaniu właśnie leżała cała pewność zwycięztwa, jaką dotąd okazywał, był pognębiony, spostrzegłszy to niesłychane szaleństwo, na które sam niebyłby się zdobył. Pomimo to, po krótkiej refleksyi, wypogodził czoło, nie tracąc zaufania w szybkość swojego statku.

Z przyczyny owej nadzwyczajnej szybkości, cała przednia część okrętu Oregon zanurzoną była w rzece do połowy; ażeby temu zapobiedz, kapitan rozkazał wszystkie towary ciężkie, które się tam znajdowały, przenieść na tylną część. Co też przy pomocy wszystkich pasażerów w krótkim bardzo czasie zostało uskutecznionem, a z tej przyczyny przód nawy okrętu, podniosłszy się znacznie, zaczął płynąć i w niedługim przeciągu czasu potrafił dogonić przeciwnika.

Flegmatycznego usposobienia maszynista statku Nebraska zdawał się nie uważać na nic, co się około niego działo. Obsypywany co raz to więcej złotem, które mu pasażerowie rzucali, odbywa dalej swoję funkcyę podsycania ognia owemi blaszanemi naczyniami, napełnionemi kamfiną. I rzecz godna zastanowienia, kocioł, rozgrzewany tym niebezpiecznym materyałem palnym, nie pękł.

Ale przyszła chwila, kiedy Nebraska, który dotychczas był prawie ciągle na przodzie, musiał nareszcie zwolnić biegu, i kamfiny już zabrakło. Szukano więc po całym okręcie, czemby można jeszcze zasilać ognisko. Jakiś Irlandczyk, znajdujący się między pasażerami, wyszukał gdzieś baryłkę prochu i zaczął ją toczyć ku kotłowi. Adolf Parot spostrzegłszy to, pomimo swej odwagi, struchlał. Rzucił się na Irlandczyka, chcąc mu przeszkodzić dokonania tego szalonego zamiaru. Ale Irlandczyk był wysokiego wzrostu i mocniejszy aniżeli teraźniejszy jego antagonista, odepchnął zatem Parot'a i popychał dalej w stronę kotła owę baryłkę. Usłyszano strzał. Irlandczyk upadł, a ciało jego podniesiono i przez barjerę wyrzucono w wodę. Wszystko to stało się w krótszym czasie, aniżeli zabiera to opowiadanie. Powtarzamy, wszyscy tam przytomni byli w owej chwili waryatami.

A Stefan Godel, ów tchórz w każdej innej okoliczności, co drżał na najmniejsze niebezpieczeństwo, stawszy się teraz prawdziwym lwem, poskoczył do koła sternika i chwytając za nie wykrzyknął:

— Nie będzie powiedziano, iż gdy Francuz przyłoży ręki do jakiego dzieła, to zrobi fiasco... Jeżeli Nebraska nie może pierwszy do płynąć do portu San-Francisco, to Oregon go tam doprowadzi.

I zręcznie kierując kołem, uderzył poprzecznie w Oregon, który w tej chwili płynął na równi. Uderzeniem tem sprawił, iż koło Nebraska zaczepiło się o koło Oregonu i tym sposobem ten ostatni okręt służył za remorkera pierwszemu, a tak przez jakiś czas płynęły obydwa poruszane przez machinę parową Oregona.

Niespodziewany i nieprzewidziany ten manewr wywołał straszną burzę przekleństw u pasażerów Oregona. Z dziesięć strzałów z rewolwerów padło koło Stefana, który był u steru, lecz ten z wielkiego tchórza stał się teraz nieustraszonym bohaterem. Nie zważał na nic, myśląc, iż swojem wmięszaniem się w tę zaciętą walkę, albo przyczynić się musi, do kompletnego zwycięztwa statku, na którym jechał, albo przynajmniej przeszkodzi zwycięzyć współubiegającemu się o pierwszeństwo rywalowi.

Lecz i to chwilowe bohaterstwo jego nic nie pomogło. Przy pomocy rozwścieklonych pasażerów Oregona, odczepionem zostało koło tegoż okrętu od koła przeciwnika, i wydobywszy się z tych krótko trwających więzów, puścił się lekki i śmiały Oregon naprzód, pozostawiając w tyle Nebraskę.

* * *

Smutną jest odwrotna strona medalu działań ludzkich na tym, jak nazywają poeci: „Padole płaczu i zgryzot.“ Nebraska nie mając więcej materyału palnego, straciwszy swoje maszty, mając komin od maszyny parowej znacznie uszkodzony, zaledwie potrafił przywlec się do zatoki San-Francisco i tam nie mogąc przybić do brzegu, kołysał się z jednego boku na drugi. Aż dopiero kapitan Oregona, który z tryumfem stanął pierwszy w porcie, przysłał — (co było ostatnią zniewagą i drwieniem ze swego współzawodnika) — małego remorkiera, ażeby ten przyprowadził Nebraskę.

Wszyscy pasażerowie Nebraski i służba okrętowa, zacząwszy od kapitana, a skończywszy na ostatnim majtku, pogrążeni byli we śnie pijaństwa. Jeden tylko Adolf Parot przechadzał się szerokim krokiem po pokładzie, rozmyślając nad zaikomościami tego świata.

Dwa czy trzy zlewy morskiej wody zaaplikowane towarzyszowi Adolfa, Stefanowi Godel, przywróciły mu przytomność, którą chwilowo utracił, wpadłszy w gorączkę nadzwyczajnej odwagi, tak przeciwnej jego tchórzliwej naturze. Po tej niewinnej operacyi stał się on znowu bojaźliwym tchórzem, jakim był przedtem. Oświadczył, iż nie chce więcej opóźniać swego wyjazdu do Francyi, zamyślając nazajutrz wsiąść na statek tam odpływający.

Ale jedna przedstawiła się przeszkoda w wykonaniu tego zamiaru, tylekroć już razy uprojektowanego: Stefan Godel spostrzegł, iż pasa skórzanego z 8 000 dolarami w złocie, który nosił zawsze na sobie, nie miał więcej. Gdy po niejakim czasie wszyscy pasażerowie się wytrzeźwili, jeden z nich oznajmił mu, iż widział jak on (Stefan), podczas gdy wyszukiwano materyału palnego do zasilania ogniska w kotle, odpiął swój pas i rzucił razem z tem, co w nim było, w kocioł. Majątek ciężko zapracowany stopił się.

Lecz w Kalifornii w owym czasie łatwo było stracić w jednej chwili, co się zarobiło w kilku lub kilkunastu miesiącach, i znowu na nowo przez jakąkolwiek pracę odzyskać tyle, lub więcej niż wprzódy. Adolf Parot stowarzyszył się z nim na nowo i w kilkanaście miesięcy po opisanej wyżej gonitwie statków na rzece Puerko Stefan Godel siadł nareszcie na statek odpływający do Francyi.

Nie wiadomo jednak, czy w tej ostatniej podróży znowu jaka katastrofa mu się nie przydarzyła i czy dopłynął szczęśliwie?

WET ZA WET.

OBRAZEK Z ŻYCIA KRAKOWSKIEGO,

przez

AUTORA: „KŁOPOTÓW STAREGO KOMENDANTA“.

(Dokończenie).

Co wybrał i co kupił u jubilera pan Tadeusz, nie umiem objaśnić czytelników; wiem tylko, że, wybiegłszy ze sklepu, chował do kieszeni fraka jakieś niewielkie pudełko w bibułkę owinięte, że wstąpił potem do cukierni, napił się wódki dla kurażu, i podążył do Saskiego hotelu.

W mieszkaniu naszych dam została tylko ciotka; młode panie, w towarzystwie Pawełka, wyszły już na nabożeństwo do katedry, ponieważ Ludka życzyła sobie, aby wspólnie podziękowali Panu Bogu za jego dobrodziejstwa.

— Całuję rączki pani dobrodziejce — odzywa się z bardzo uprzejmym ukłonem kandydat na adwokata.

— A, dzień dobry panu, proszę siadać... Ludka z Joasią poszły do kościoła, ale spodziewam się, że zaraz wrócą.

— Wiedząc, że panie dziś wyjeżdżają, chciałem je pożegnać, chociaż na krótko... Za parę dni spodziewam się znów powitać w Krynicy... potrzebuję, pani dobrodziejko, spoczynku na parę tygodni, i jeżeli towarzystwo moje może być dla pań przyjemnem...

— Czy pan wątpisz o tem?...

— Człowiek, pani dobrodziejko, pracuje jak

wół rok cały, a kiedy może pozwolić sobie na ten wydatek...

— Zapewne — odpowiada ciotka – ale czy tylko pan na odpoczynek jedzie, czy nie ciągnie tam co innego?

— Pani dobrodziejka jakby zgadła, rzeczywiście — mówi jąkając się nieco Tadeusz — towarzystwo pań, jest mi tak... jakby to powiedzieć, przyjemnem... więcej niż przyjemnem, bo drogiem... i gdybym... tego... znalazł tyle łaski w sercu pani dobrodziejki...

— W mojem? pyta, uśmiechając się ciotka — ja sądzę, że panu tak wiele o moje serce nie idzie... Wprawdzie jestem wdowa i zupełnie wolna...

— To jest, pani dobrodziejko, jej łaskawa protekcya.. tego...

— Proszę pana, powiedz mi, *w jakim celu* to mówisz?

Ten wyraz *w jakim celu,* musiał zelektryzować Tadeusza, bo potężny rumieniec na twarz mu wystąpił, porwał się z krzesła, i nie wiedząc co z sobą zrobić, zbliżył się nagle do pani Wiktoryi z zamiarem pocałowania ją w rękę.

— Pani dobrodziejko, ja... ja szanuję bardzo pannę Ludwikę, to jest... jakby to powiedzieć, uwielbiam.

— Jednem słowem, jesteś pan zakochany...

— Najkompletniej, pani dobrodziejko, ale to szalenie; i uważa pani dobrodziejka, chciałbym tego... prosić łaski pani... czyby... na to... mówiąc.

— Mówże pan po ludzku! nie tego, owego, czyby, gdyby...

— Czyby można mieć jakąś nadzieję?

— Tego nie wiem, choć nadzieję każdy człowiek mieć powinien... ale o to i wracają nasze panie z kościoła, spróbuj pan.

Dziwna śmiałość opanowała młodego koncypienta, gdy Ludka z siostrą weszły do pokoju. Zamiast zwykłych przywitań pełnych uprzejmości, jakiemi dotąd odznaczało się postępowanie Tadeusza, teraz, ukłoniwszy się z wielką powagą, stanął za krzesłem, blednąc i rumieniąc się na przemiany. Panie zdjęły kapelusze i okrycia, koncypient milczał zawzięcie.

— Cóż pan Tadeusz taki dziś zaambarasowany? — pyta go wesoło Ludka — wyglądasz pan, jakby ci się na płacz zbierało.

— Mów pan otwarcie, co tam... — wtrąca ciotka, a widząc że się waha, dodaje: — Jakto dzisiejsza młodzież mało posiada odwagi... moja Ludko, pan Tadeusz pragnie cię o coś zapytać..

— I owszem, i owszem, pytajże pan, a nie rób tak śmiesznej miny!

— Może pani dobrodziejka tego... — mówi, spoglądając miłosiernie na ciotkę raczy mi dopomódz...

— A cóż to pan jesteś uczniem z gimnazyum, żeby mu podpowiadać?...

— Pani dobrodziejka wie — rzecze nareszcie zwracając się do Ludki — że osoba jej dla mnie jest nadzwyczaj tego...

— Cóż tego? — rzecze Ludka, widząc, że nie mówi dalej.

— Jest dla mojego serca nadzwyczaj drogą...

— Nic a nic o tem nie wiedziałam. Ale pochlebiam sobie, że pan prawdę mówisz. Cóż dalej? chciałabym wiedzieć *w jakim celu* ta przedmowa.

— To jest... czy nie mógłbym mieć pewną, jak to się nazywa... nadzieję.

— Moja Joasiu — rzecze panna, odwracając się do siostry, nic a nic nie rozumiem.

— Dziecinna jesteś — ofuknie ta prawie z gniewem — dlaczego żenować tego pana. Oświadcza ci swoje uczucia, zdaje się, że to łatwo zrozumieć...

— Więc to naprawdę, mają być oświadczyny, panie Tadeuszu?

— Tak pani dobrodziejko, pragnę ofiarować pani moje serce i miłość bezdenną...

— Szanowny panie — rzecze z powagą Ludka, podając mu rękę—bardzo cenię tę ofiarę i wdzięczna mu jestem... ale cóż, spóźniłeś się pan nieco... Wczoraj właśnie przyrzekłam moję rękę przyjacielowi jego, panu Pawłowi.. Przepraszam, nie miej pan żalu do mnie... bardzo pana szanuję i cenię tę jego bezdenną miłość...

— A to psia... podubiegł mnie ten milczek — syknął prawie głośno koncypient... — Jakto? i przyrzekłaś pani temu letkiewiczowi? — mówi głośno.

— Cóż miałam robić, kochany panie Tadeuszu — tak prosił szczerze, a my kobiety już mamy taką naturę, że właśnie lubimy opiekować się niedostatkami naszych mężów. Pan, jako człowiek tyle praktyczny i rozsądny, dasz sobie radę i bez mojej opieki, a ten biedaczysko, Pawełek, zginąłby bez tego. Zresztą — dodaje żartobliwie — łatwiej panu przeboleć stratę mej osoby: zamiast jednej Ludwiki, masz pan tyle Ludwików, które pana pocieszą, a Pawełek, prócz długów, i takich jak pan przyjaciół, nie ma nic więcej...

— A zatem przepraszam, bardzo przepraszam — mówi, rejterując się ku drzwiom. — Mam honor pożegnać...

— Nie na długo, nie na długo — dodaje ciotka — pan Tadeusz za kilka dni również wyjeżdża do Krynicy.

— Doprawdy? bardzo nam będzie przyjemnie...

— To jeszcze nic pewnego... nie wiem... jeżeli czas pozwoli...

— Nawet potrzeba, żebyś się pan z nami porozumiał co do tej sprawy we Lwowie — dodaje pani Joanna. My tyle mamy do niego zaufania, a jak Paweł słusznie zauważał, najlepiej wstrzymamy się, dopóki pan nie otworzysz na siebie kancellaryi.

— Bardzo jestem wdzięczny, zobaczę... tego... całuję rączki paniom dobrodziejkom... I owszem... gotów będę na ich rozkazy...

* * *

Trzeba było widzieć minę, i ten wściekły, że się tak wyrażę, gniew pana koncepisty, gdy wybiegł jak oparzony z hotelu na ulicę. Wierzchnie palto, którego już nie miał czasu włożyć na rękawy, powiewało na plecach jak żagiel okrętu, a oczy mu świeciły niby dwa rozżarzone węgle, twarz płonęła i wargi dygotały z irytacyi.

— A to ci psia... chytre Litwinki! a to ci panie wystrychnęły mnie na dudka!... A ten, ten... wymokły, hypokryta, ten literat, kochany Pawełek... popamięta mi tę sztukę... Wiem co zrobię! — szepce po chwili, stając na ulicy — poszukam Goldfelda, nabędę jego weksle i sprocesuję go, ale to sprocesuję do ostatniej nitki... Zrobię mu skandal... że zje dyabła, czy będzie mógł oczy na świat pokazać... Tak, tak, nawet weksle te mogą mieć fałszywy podpis, — znam ja te sztuczki młodych paniczów... niezawodnie musi tam być jakiś fałszywy... Sprawa kryminalna i brud, panie kochany, i skandal...

Na rynku, przed kościołem świętego Wojciecha, pośród gromady wekslarzy, odszukał prędko znajomego nam Goldfelda...

— Panie kupiec, proszę na słówko — rzecze, biorąc go pod rękę i usuwając się z nim na bok. — Masz pan weksle Pawełka przy sobie?

— Albo co?

— Chcę je nabyć od pana, płacę gotówką zaraz co do centa..

— Kiedy ich nie mam — odpowiada lichwiarz..

— Zastawiłeś, gdzie? — pójdziemy, wykupię...

— On mi dziś zapłacił wszystko...

— Nie może być! Zkądże on wziął tyle pieniędzy?...

— Te jego ciotkie stare dała mu pięć tysiąców rubli... *auf meine munes...* ja sam zmieniał te ruble... on bardzo rzetelne doktor, zapłacił...

— A szkoda, byłbym mu dopomógł...

— To pan adwokat nie wie, co on się żeni z tem panne Ludwika? A one to nie jest córke tego handlarza od drzewa von Königsberg, ale obiwatelka z Litwy, co one odbiera grojse sukcesye z Lemberg... On dziś jedzie z niemi do wód... Awa, jakie to ładne te panne Ludwikie, awa.

— Bądź zdrów, panie Goldfeld...

— Padam do nóg, pana adwokata, a niech pan pamięta od Goldfeld, jak będzie co wekslować.. Ludwiki bardzo dobrze stoją... dziś hossa...

Okoliczność ta przypomniała Tadeuszowi jeszcze jednę stratę. Pomacawszy swoję kieszeń, w której było pudełeczko z prezentem, skręcił nagle do Floryańskiej ulicy i wpadł jak bomba do sklepu jubilera z wielkim krzykiem, że środkowa perła broszki jest pęknięta pod spodem... Jubiler obejrzał i nie mógł dojrzeć tej skazy, Tadeusz wymyślał żądając zwrotu pieniędzy, grozi nawet, że wytoczy proces o oszustwo, lecz że pan jubiler nie należał do ludzi o zajęczem sercu, więc nie mogąc przekonać pana koncypienta o całości owej perły, grzecznie pokazał mu drzwi, którędy można wyjść ze sklepu.

Otóż i koniec historyi. Litwinki z Pawełkiem wyjechały tego samego dnia wieczornym pociągiem, i jeżeli tam w Krynicy nie pogniewają się o co młodzi narzeczeni, bo i to się zdarza czasami, to z powrotem niezawodnie się pobiorą w Krakowie... i wkrótce będziemy mieli nowy polityczny dziennik, bo od tego z pewnością pan Paweł nie odstąpi... Szczęść mu Boże!

Coś na trzeci dzień, znów los mi zdarzył napotkać pana Tadeusza na linii A. B., w rynku Krakowskim.

— Szanowny panie adwokacie — mówię, zaczepiając go — mogę panu nastręczyć kupno ślicznego fermoaru, i to za bezcen..

— Dziękuję, bardzo dziękuję.

— Czy już pan kupiłeś?... a może... śliczna? bo śliczna, ta Litwinka pańska.

— Powiem panu prawdę, chcieli mię złapać... ale ja ci panie nie w ciemię bity... Napisałem wprzód do Lwowa o ten spadek, i pokazało się panie, że to interes.. tak sobie... Wypadnie tam może na nią kilka, a w najlepszym razie, kilkanaście tysięcy... Więc, uważasz pan, w dzisiejszych czasach co to znaczy?... wykręciłem się tedy jakoś...

— Słusznie, słusznie, żona to kosztowny mebel...

— A czasy ciężkie, adwokatów codzień przybywa... stagnacya, wojna.. interesów nic..

Pożegnałem więc zakłopotanego pana Tadeusza, który, o ile mogłem wyczytać z jego oczów, postanowił sobie wszystkie straty i zawody powetować na kosztach i honoraryach, jakie policzy Litwinkom za windykacyę spadku. Kwestya tylko, czy mu oddadzą tę sprawę? — Eh! oddadzą, oddadzą.. Ludzie z takiem baraniem sercem, jak Pawełek, nie potrafią nikomu dokuczyć, a tembardziej mścić się nad odrzuconym rywalem...

PRZED LATY.

przez

MARYANA DUBIECKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

W szkółce parafialnej dziewczynki kształcić się miały w pisaniu, czytaniu, rachunkach i nauce moralnej. Elementarzem obowiązującym dla wszystkich szkół parafialnych był elementarz wydany przez komisyę edukacyjną w r. 1785, który i dziś jeszcze swych zalet nie stracił. Książeczka zaś X. Piramowicza „O powinnościach nauczyciela“, wskazaną została jako podręcznik i doradzca dla wykładających.

Wyższy kurs szkółek, gdzie kształciły się dziewczynki „doskonalące się“, składał się z ćwiczeń w wyższej arytmetyce, z formowania dobrego charakteru pisma, z nauki szycia, przędzenia na kołowrotku lnu, konopi i wełny, robót na drutach, uprawy umiejętnej ogrodu, hodowania drzew owocowych i roślin pożytecznych. Uczono je przytem obejścia się z nabiałem, drobiem domowym, dobrego gotowania i prania bielizny. Spiew uprawiano wszędzie; a w szkołach męzkich również i muzykę. Obszerne przepisy, zachęcające do umiejętnego ogrodnictwa, do pielęgnowania i upowszechniania drzew owocowych, budziły nadzieję, że sadownictwo u nas się rozpowszechni, że chaty wieśniaków umajone z czasem będą kwiatami i zielenią ogrodów, że drogi nasze zakwitną wielomilowymi szeregi drzew owocowych, że wreszcie w miasteczkach naszych, wywołujących swem niechlujstwem wstręt przechodnia, niemniej w XVII wieku, jak i dziś jeszcze, powstaną nieznane dotąd czystość, ład ulic i placów z kwitnącymi wirydarzami, z żywopłotami, tudzież starannie pielęgnowanemi alejami, że zastąpią one, wraz ze świeżem i zdrowem powietrzem, przez całe stulecia zbierane śmietniki i błoto, szerzące choroby, powiększające śmiertelność, a tem samem rujnujące kraj, zabijące w mieszkańcach poczucie piękna, lepsze, szlachetniejsze instynkta.

Szkółka parafialna, zgromadzająca wśród jednych ścian, na tychże samych ławach, dzieci wszystkich wyznań i szczepów plemiennych — dzieci oddające cześć Bogu w kościołach rozmaitych kultów, w synagogach i meczetach — nie znająca żadnej przewagi religijnej jednego wyznania nad drugiem, żadnej przewagi kast lub szczepu, szkółka taka od lat pacholęcych wszczepiała w młodociane serca prawdziwą miłość bliźniego, bez względu na pochodzenie, przeszłość dziejową lub przekonania religijne.

Kiedy dziewczynki oddawały się zajęciom niewieściego gospodarstwa, chłopięce zatrudnienia rozwijały siłę i zręczność męzkiej uczącej się młodzieży. Nauczycielkom i nauczycielom zalecano, aby obchodzili się z dziećmi „z wszelką uprzejmością i poufałością“... Powinni oni byli wynajdować dla swych wychowańców „zabawy na wolnem powietrzu, takie zwłaszcza, któreby ich wprawiały do siły, szykowności, do doświadczeń mechanicznych, do obrony od ognia“...

Jeżeli ustawa wiele wymagała od dzieci, jeżeli wprowadzała ścisłą, rozumną karność i pilnie przestrzegała, by egzamina z możliwą dokładnością odzwierciedlały stopień nabytej nauki uczących się, to niemniej była nieubłaganą dla wykładających, dla kierowników młodzieży. Zwraca się do nich reformator z temi słowy tchnącemi prostotą, ze słowami rady prawdziwie ojcowskiej. „Najbardziej zaś czuwać mają nauczyciele nad własnemi obyczajami, chroniąc się od wszelkich postępków, któreby gorszyły młodzież lub sąsiadów; wszelkie takowe postępki, osobliwie gdyby się zmieniły w nałóg, będą ściśle dochodzone i karane przez zwierzchność edukacyjną, która nigdy nie przestanie mieć pilnego oka w tem wszystkiem, co do dozoru takowych szkółek i ich nauczycielów ściągać się może. Dla czego wszyscy nauczyciele nie przestaną nigdy zamyślać się nad wysokiemi powołania swego celami, i pilnie nad samymi sobą czuwać; nie zapomną nigdy do czego ich tak dobre wychowanie przeznaczyło, mieć będą prawie zawsze w ręku dzieło Piramowicza pod tytułem: „Powinności nauczyciela, mianowicie zaś w szkołach parafialnych“, dzieło najpożyteczniejsze i prowadzące prawie za rękę każdego nauczyciela, chcącego pilnie i wyrozumiale pełnić wszystkie swe obowiązki“...

Przy szkółkach parafialnych, istniejących w miastach, gdzie są szkoły powiatowe, stawały pensye niby niższe seminarya nauczycielskie — które w zakładzie zamkniętym, pod kierownictwem umiejętnych mistrzów i mistrzyń, kształcić miały nauczycielki wiejskich szkółek.

Plan nauk chłopczyków w dwuklasowych szkołach parafialnych zarysowywał się daleko szerzej od programatów odpowiednich temu szkółek niewieścich; bo zawierał geografię, nauki przyrodzone, wiadomości z pszczelnictwa, mechaniki praktycznej, rolnictwa i ogrodnictwa. Chcąc odbyć te kursa, potrzeba było dwa lata studyować w każdej klasie; i takiemi też rzeczywiście były wymagania programatu; co nie należy za stratę czasu uważać, gdyż dziatwa wiejska bez żadnych przygotowań uprzednich do szkoły przychodziła.

Gdy średnie i niższe zakłady dla kobiet udzielały naukę w rozmiarach nieco mniejszych, niż w odpowiednich im męskich, „Seminaryum Nauczycielek“ — kształcące przyszłe kierowniczki żeńskiej młodzieży, wśród zamożniejszych warstw społeczeństwa — wcale nie skąpo szafowało skarbami wiedzy.

Krzemieniec — główne owoczesne ognisko światła dla tamtejszych prowincyj — miał posiąść tę wyższą szkołę niewieścią, którą urządzano na wzór gimnazyum męzkiego. Miało to być „liceum dla kobiet“, z jakiem dziś trudno się spotkać nie tylko w bliższych, ale i w dalszych od nas okolicach. Plan nauk w seminaryum wymagał studyów „przynajmniej“ sześcioletnich: rozpadały się one na klasy, których było cztery, i dwa kursa. Przepisy wszakże zastrzegały, iż gdyby zarząd seminaryum uważał, iż wychowanice, chociaż promowane do wyższych klas, lub na kursa, nie dość są jeszcze ugruntowane w nabywanych wiadomościach, powinien skłaniać je do pozostawania dłużej nad rok w pewnej klasie lub na mało wystudyowanym kursie. Klasy wstępne miały, jak w gimnazyum męskiem krzemienieckiem, miano „kursów języków“ — a wyższe nazywano „kursami nauk“. Na kursach języków uczono oprócz języka własnego, języków obcych, a mianowicie: włoskiego, niemieckiego i francuskiego. Z nauk wykładano w tych pierwszych czterech latach: arytmetykę, historyę powszechną, geografię, naukę moralną, tudzież muzykę i spiew. Wprawiać się przytem musiały przez cały ciąg pobytu w zakładzie do szycia, do haftów, do przędzenia na kołowrotkach wełny i lnu, do krawiectwa, do prac gospodarstwa niewieściego i sztuki gotowania, do robót na drutach i na tak zwanych warstacikach.

Na kursach plan nauk znacznie się rozszerzał: bo, doskonaląc się w tem, czego nie zdołano ukończyć w czterech klasach — słuchały one fizyki, chemii, botaniki, ogrodnictwa, logiki i prawa. Dziełko Kondyllaka do logiki, a książeczka ks. Hieronima Stroynowskiego, bisk. wileńskiego, do prawa, były tymczasowymi podręcznikami, które ustawa zalecała, obiecując z czasem opracować dokładniejsze dzieła elementarne, bardziej zastosowane do miejscowych potrzeb, wymagań i rozwoju nauki. Profesorowi chemii zalecano zwracać główną uwagę na chemię zastosowawczą, „dając jak najprostsze prawidła wraz z doświadczeniami tych wszystkich części, które należą do bielenia, farbowania, wyciągania plam, robienia wódek zapachowych, różnych gatunków soli w farbiarstwie potrzebnych, rozpuszczania gum, robienia werników, octu, wyciągania skwaśniałości z napojów i tym podobnych wszystkich doświadczeń, które są codziennie potrzebne w życiu gospodarskiem“.

Podałem ten przydłuższy wyciąg z ustawy dla wskazania jak względy praktyczne zawsze obecnemi były myśli reformatorów, z jaką troskliwością i prawdziwie ojcowską miłością wyższy umysł tych ludzi, przyzwyczajony do badań na rozległych niwach nauki, nie waha się zstępować na niziny życia powszedniego, by żadna drobnostka, mogąca przynieść pożytek, nie uszła ich uwagi, by o niczem nie zabaczyć, by nic nie przemilczeć. Foliały owych ustaw i przepisów, poczęte wśród ścian ubogiego dworku w Stołpcu, przedebatowane w Porycku, i teraz jeszcze w ułamkach, acz skażone zawiłym stylem, tudzież licznemi przekształceniami, są podwaliną statutów szkolnych jednego z większych państw Europy.

Jak profesor chemii miał sobie zaleconem wykład przeważnie na polu praktyki, tak również profesor botaniki w seminaryum nauczycielek otrzymał wskazówki, iż jednym z jego niepodrzędnych obowiązków wprawiać w lecie swe uczennice „do umiejętnego obejścia się z warzywami wszelkiego gatunku, do umiejętnego zasiewania i pielęgnowania roślin i drzew, dających wielorakiego gatunku włókno, do plantacyi, szczepienia, okulizowania drzew owocowych i morwowych, tudzież do całkowitego obejścia się z jedwabnikami, począwszy od ich wylęgnienia, aż po otrzymanie i użycie jedwabiu“...

Na botanikę z ogrodnictwem i jedwabnictwem i na chemię zastosowawczą taki nacisk kładli ustawodawcy, iż w przepisach radzono zarządowi szkoły, aby starano się powtarzać kurs tych ostatnich wiadomości, i w takim razie do dwóch kursów zalecono trzeci dodawać, który był już siódmym rokiem nauki.

Wychowanice zakładu nie posiadały prawa

zaniedbywania ani jednej gałęzi gospodarstwa kobiecego. W kuchni, praczkarni, przy krawieckim warstacie, przy pieczeniu ciast, przy mleczywie, przy przygotowaniu konserwów na zimę powinny one były kolejno asystować, lecz w roli czynnej i umiejętnej pracownicy, wcale nie w roli widza. Mając zaś wzgląd na ich przyszłe powołanie nauczycielskie, kolejno uczennice wyższych kursów, w muzeum — tak nazywano salę, gdzie się zgromadzały dla przygotowywania lekcyi — odbywały korrepetycye z wyznaczonemi sobie koleżankami z grona młodszych, których usposabiały stosownie i z niemi powtarzały lekcye na dzień następny; a wszystko to pod okiem dozorujących guwernantek. Każda z dziewczynek — jeżeli już przeszła na kurs botaniki — otrzymywała wyznaczoną dla siebie część ogrodu, którą musiała ozdabiać własnemi pomysły, drzewa pielęgnować, rośliny tam hodować i kwiatami upiększać, dla praktycznych ćwiczeń w ogrodnictwie „i dla wyrobienia gustu", jak się ustawa wyraża.

Szkoła owa miała być umieszczoną w Krzemieńcu, w murach pobazyliańskich, co dawałoby możność wychowankom zakładu bezpośrednią mieć komunikacyę z sąsiadującym z niemi wspaniałym kościołem pojezuickim, świątynią całej młodzieży uczącej się podówczas w Krzemieńcu. Tam przeto, za pośrednictwem bezpośredniego przejścia, mieszkające w pewien sposób za klauzurą, udawały się wszystkie uczennice co dzień, o 7 rano, na mszę. W niedziele adwentowe i wielkopostne, w godzinach popołudniowych, wykładał im pleban zakładów naukowych religię w oratoryum miejscowem, co służyło zarazem jako miejsce modlitwy wieczornej i porannej.

O wychowaniu religijnem wypowiadał znakomity reformator takie przekonania: „Religia jest najpierwszą zasadą moralności... Religia chrześciańska — mówi on dalej — zasadzając się najbardziej na sprawach moralnych, to jest miłości bliźniego, powinna od wczesnej młodości wprawiać uczące się do litości i miłosierdzia, w miarę ich możności, do darowywania uraz i krzywd, do przestróg i jak najłagodniejszego poprawiania błędów swych koleżanek"... Tak motywują się obszerne przepisy, zalecające szkolnej władzy, aby korzystała z każdej sposobności wprawiania dziewczynek do życia chrześciańskiego, przejawiającego się w czynach cnoty i współczucia na niedolę bliźnich; „chroniąc się wszelako — są słowa ustawy — chroniąc się zbytecznej bigoteryi, a tem więcej próżnych fanatyzmu zapałów, które się sprzeciwiają cnotom moralnym i nauce chrześciańskiej, przeszkadzają wreszcie do życia czynnego, do jakiego opatrzność przeznaczyła wszystkie kobiety".

Przy kształceniu strony moralnej, reformatorowie ze szczególną troskliwością, którą natchnąć tylko może prawdziwa miłość społeczeństwa, dla którego się pracuje, pilnie przypatrują się stronie naukowej szkolnej korporacyi, wielekroć uwaga ich zwraca się ku obowiązkom nauczycieli i guwernantek, tak dozorujących, jak i wykładających. (Dok. nast.)

PLOTKI I NIE-PLOTKI

WARSZAWSKIE.

(Dokończenie).

Gdy zaś szczęśliwie Bogowie przeniosą go do Paryża i z pod obelisku spojrzy na pola Elizejskie — niezawodnie odezwie się:

— Wprawdzie jest tu pięknie, ale i nasz *skwer* na Krakowskiem przedmieściu — chociaż mniejszy, należy do bardzo ładnych.

Reforma wprowadzona po 1863 roku przez Kuryera warszawskiego — krytyk, *lekkiej krytyki* baletnic i aktorek, a stanowczej i węzłowatej — grubych dzieł i długich sztuk, dalej wolność krytykowania teatru a nawet jego administracyi, zrobiły krytykę rzeczą *szyku* i od tego czasu krytyka stała się modą, — tak jak wyrażenia wzięte z nauk przyrodniczych i statystyki.

Przeciętny (mówiąc językiem naszych pism) Warszawiak mało ma w ogólności zmysłu krytycznego, z powodu, że z natury jest optymistą na rzecz swego miasta i kraju; przyczyniają się do tego również częste porównania Warszawy z Paryżem, skweru z polami Elizejskiemi, a ogrodu Saskiego z ogrodami Semiramidy, albowiem przeciętny Warszawiak dowodzi i wierzy, że ogród Saski nie da się nawet porównać z żadnym ogrodem stolic Europy, tak co do piękności jak i *jeometrycznego środka miasta*, chyba jedynie z wiszącemi ogrodami Semiramidy. A jeżeli Ogród Saski nie jest wiszący, to jedynie dla tego, że mu przyjemniej leżeć i żeby tylko chciał, mógłby wisieć — tylko że nie chce. Taka jest wiara przeciętnego Warszawiaka i z niej płynąca duma, podsycana również nieporównaną sławą baletu warszawskiego.

— No, jeżeli już utrzymujesz że *nasz* balet nie jest pierwszym w Europie, to muszę ci powiedzieć, że się na niczem nie znasz — mówi przeciętny Warszawiak do Galicjanina lub Poznańczyka.

— Widziałem piękniejsze — odpowie obojętnie — interpelowany.

— Może w jednej Hiszpanii — zawoła z miną wielkiego znawcy Warszawiak.

Utrzymuje się w Warszawie tradycja od lat 30tu, jakoby balet hiszpański dorównywał warszawskiemu, a nawet w niektórych *pas des deux* i *chassé-croisé* przewyższał go.

Toż samo dzieje się z dramatem i komedyą. I pomimo, powtarzam, że krytyka weszła w dziedzinę *szyku*, są powagi, których nikt nie ośmieli się krytykować — nawet geniusze krytycyzmu dramatycznego — jakimi są Lewestam i Edward Lubowski — gdy przeciętni Warszawiacy, mają dla swych wielkości dramatycznych jedynie cześć, entuzyazm — w ostatnim razie zapał.

Gdy — lub jeżeli — czasami, boć nawet geniusze są ludźmi, artyści ci nie zrozumieją swych ról, i fałszywie zagrają dramat lub komedyę — wtedy tylko autor upada — bo o artystach pisze się: „robili co mogli".... albo; „No, jeżeli już tacy zrobić nic nie mogli".... Tymi takimi są dziś Żółkowski, Królikowski — Rapacki i Popielka.

Niedługo będą Leszczyński i Tatarkiewicz Deryng zaś będzie miała swych nieco zabawnych bo zagorzałych wielbicieli — którzy pisać będą o „białych skrzydłach duchów siedzących na jej ramionach"—i przeciwników złośliwych i sprawiedliwych lub dla *szyku*; ci ostatni stworzeni przez krytykę uniwersalnego geniusza Edwarda (szkoda że nie dwóch imion) Lubowskiego — krytykę jej gry w Maryi Stuart Słowackiego Do falangi nieomylnych na scenie przybędzie Kotarbiński, od chwili kiedy odegra jakkolwiekbądź Hamleta.

Przeciętny Warszawiak ma spryt dzikiego, ale razem z nim nie ma rozwiniętego zmysłu krytycznego — na co dowód, że Struwe, wynalazca systemu pozytywno — czyli *materjalno-idealnego !?!* jest u nas pierwszym estetykiem.

— Tyle razy wspominałeś *o szyku*, miły plotkarzu, a nie wytłumaczyłeś znaczenia tego kabalistycznego wyrazu.

— „Słuchałem ci ja o tem, jakiem był *we Widniu*, ale mi jakoś wyleciało ze łba", — powie prawdziwy wasz łyk krakowski, zapisany do jednego z bractw, co w śmiertelnych koszulach chodzą w święta po mieście przy procesyi.

— A to taki szyk, to nie żaden baciarz, to tyla co grafiuk — powie przeciętny z drugiej niższej kategoryi inteligencyi mieszkaniec Lwowa.

Otóż *szyk*, w prawdziwem znaczeniu warszawskiem znaczy — „rozbijać się dryndą", aby aż z podków koni sypały się iskry, a wtedy nogi zadającego *szyku* powinny być umieszczone jak najwyżej, choćby na ramionach dryndziarza (woźnicy). Dla tego też indywidua obdarzone długiemi nogami są już od natury uzdolnione do zadawania największego szyku — jeżeli tylko mają kilka rubli na dryndę — i przyzwoitą garderobę.

A propos garderoby — odgrywa ona jedną z najgłówniejszych ról w *szyku* i ma swoje właściwe cechy. Jeżeli naprzykład noszą długie surduty — szyk wymaga, aby te podobne były w długości do szlafroków — jeżeli zaś krótkie — powinny przypominać kurty lub kamizelki.

Tak wystrojony młodzieniec, chcąc zadać prawdziwego szyku, wchodzi do Saskiego ogrodu jedną z bocznych bram, byle nie od Żelaznej bramy lub Żabiej ulicy — przebiega przez główną aleję ogrodu — z miną młodego Byrona, troszkę zaniedbany na pół uśmiechnięty i zamyślony, a zawsze poważny — i uroczysty. Spostrzegłszy znajome damy, kłania się z szykiem przez zdjęcie z głowy kapelusza i gwałtowne wyprężenie ręki, przytem głowy się nie schyla nawet na pół cala. Zadowolony z siebie, idzie dalej roztargniony od wielkich myśli rozsadzających mu czaszkę — wychodzi bramą od Saskiego placu, skręca na Wierzbową, dochodzi do teatru — rzuca okiem na lewo, czy czasem który z reporterów Kuryerka nie widzi go — gdy tymczasem spotyka się z jedną z największych powag, z rumianym, bielutkim, o świecącej się od tłuszczu buzi Waciem Szymanowskim, który właśnie wraca ze śniadania od Stempkowskiego, aby napisać sławną krytykę filozoficznego dzieła w dwunastu wierszach. Nasz młodzieniec, zadający szyku, kłania się z gracyą powadze miasta a redaktorowi Kurjerka Warszawskiego i żałuje mocno, że nie miał sposobności ukłonić mu się z dryndy — a wtedy, kto wie: możeby redaktor wspomniał naprzykład. „Widzieliśmy młodzieńca ubranego z wielkim szykiem, który się rozbijał dryndą".

Tego rodzaju reklama wprowadziłaby w zachwyt i wbiła w dumę młodzieńca — Pytanoby się w kołach rowienników: „kto wczoraj zadawał szyku dryndą tak, że aż o nim Wacio, lub Kurjerek wspomniał.

— To ja — zawołałby nasz młodzieniec i spojrzał z góry dumnie, a zawsze z szykiem!

A tak wszystko przepadło dla tego jedynie, że Wacio lub Wacek wyszedł o dwie minuty wcześniej od Stempkowskiego — tak go paliła gorączka pisania krytyki...

Gniewny więc i rozdrażniony zadawacz szyku staje z miną rozdzieracza serc niewieścich i podnosi laseczkę w górę. Na ten znak dryndziarze pierwszej klasy znając go wybornie, wypuszczają galopem, skręcając i osadzając na miejscu

z wielkim szykiem. Żaden sałaciarz (dorożkarz nie należący do pierwszej klasy) nie ośmieliłby się nawet końmi ruszyć. Młodzieniec rzuca się niedbale, a zawsze z wielkim szykiem na granatowe obicie siedzenia dryndy — zakładając nogi, jak tylko można najwyżej, a dryndziarz wypuszcza na złamanie karku pędząc przez Wierzbową i Czystą. Na Czystej patrzy ciekawie młodzieniec na redakcyą Kuryera Codziennego, ażali się nie ukaże p. Józef Hiż, redaktor i zięć pana Kucza. Napróżno — a więc dryndziarzu tnij przez Krakowskie przedmieście i Nowy Swiat, zakręcaj koło Trzech króli i wracaj, zajeżdżając przed teatrem a dawnym Lursem.

Młodzieniec rzuca dwa ruble dryndziarzowi i z wielkim szykiem, milczący, wchodzi do cukierni. Bufet w niej zrobiony *rococo* z marmuru, złota, srebra i szkła, a chociaż sprowadzony z Paryża, jest dumą Warszawian. Przed nim to staje nasz bohater, każąc sobie dać wódki — przyczem zjada pasztecik, płaci — i jeżeli są damy, gdy mu z rubla dają resztę, spojrzy na nią, uśmiechnie się i wolno odchodzi, patrząc ukosem jakie wrażenie zrobiło na damach nie wzięcie reszty i słodki wyraz cukiernika — gracia — lub merci!

Damom się to podobało, bo się uśmiechnęły, a nasz młodzieniec z dumą wyszedł z cukierni.

Na tem zwykle się kończy. Młodzian wprawdzie jeszcze z szykiem kroczy przez plac teatralny, Senatorską, do połowy Miodowej. Posuwając się dalej, traci szyk, rozstaje się z dobrym humorem i zadowoleniem z siebie. Mija Appellacyą, skręca na Długą, kierując się na Szeroką i wąską Frita. Tam się dopiero oryentuje, ogląda i tajemniczo wchodzi do tak przezwanej przez niego Gargotki na objadek za dwa złote, jeżeli zostało pieniędzy — lub na kredyt.

Są najrozmaitsze rodzaje zadawania szyku — stosownie do pozycyi, stanowiska w społeczeństwie, zajęcia i wykształcenia.

Wielcy panowie zadają go inaczej, szlachta inaczej, oficerowie gwardyi inaczej — a literaci inaczej. Literaci przedewszystkiem po znają — dla nich wszystko jest *pod psem*, oprócz Warszawy i uświęconych w niej wielkości — chwały, jak naprzykład ogród Saski, Łazienki bale i t. d.

Wszyscy jednak — ludzie wszelkich barw, mają widać jedną namiętność we krwi już — a tą jest zadawanie szyku przez rozbijanie się dryndami. Cóż powiecie na to, gdy przysięgnę, że widziałem emerytów, zadających szyku w dryndach.

Ile jest form objawów próżności ludzkiej, tyle jest i rodzajów zadawania szyku. Jest to kopalnia, którą nie tak łatwo wyczerpać można.

Wrócimy więc do niej. Dziś dodam tylko tyle, że nasz młodzieniec szyku o wiele jest różny od waszego Goga, bo gdy wasz gagatek usiłuje się gwałtem wedrzeć do *waszej* galicyjskiej arystokracyi i niedorzeczności wygaduje *„o ulicy“, nasz* młodzieniec jest, mówiąc językiem naszego Struwe, samym sobą w sobie i za siebie. Nie obchodzi go arystokracya ani demokracya, zadaje szyku dla szyku — jak piękno dla piękna — czyli jest bezcelowym, a waszego Goga ogra w bilard, czy to w kręgielki czy karambole dając mu for — dwadzieścia — lub gdy jest bilard o łuzach, nie będzie nigdy kroił matki do środka. Przy pierwszej zaś sposobności sprzeda waszego Goga, że o tem wiedzieć nie będzie.

I gdy wasz Gogo patrzy trochę na lokaja, warszawski szykowiec jest to sztuka dumna i zuchwała.

Lecz co się stanie po ustąpieniu Moskali z najazdem Galicjan, gdy młodzież z lat 14tu wyrośnie na 25. Łatwo przewidzieć, rozbije galicyjski Sejm w Warszawie — rozpędzi rząd — przywróci dawną nazwę Królestwa Polskiego — i przyłączy Galicyę do Polski — albowiem będzie to młodzież krewka, zdrowa, jędrna, wychowana i wykarmiona na patryotyzmie, a pełna zdrowych postępowych zasad i trzeźwości.

Wtedy posłowie wasi będą chcieli protestować, a Krzeczunowicz do tych protestów robić poprawki. Goljan rzuci anatema Szujski zawoła: że bez Jezuitów nie ma Galicyi i Lodomeryi. Na co odpowiedzą mu: Ale będzie Polska.

Rozgniewana partya krakowska zawezwie powtórnie pomocy i opieki Moskwy — lecz Moskale zajęci wtedy, jak dziś Francuzi, własnemi sprawami, odpowiedzą:

— „Szutki (żarty) te kosztowały nas miljony rubli i sto lat kajdan ciężkiej własnej niewoli. My nie głupi — szukajcie sobie innych“. Oto jest *rzetelne* i dziś panujące przekonanie *prawdziwej* inteligencyi moskiewskiej — którą nawet w pewnej części znajdziecie i w prasie moskiewskiej — nie szukajcie jej tylko w *Gołosie* i *Moskiewskich wiadomościach.* Dwa te organa są nienawidzone przez postępowych i rzetelnie ucywilizowanych Moskali, których liczba z każdym dniem wzrasta i coute que coute przyszłe losy Rossyi są w ich rękach.

W ten sposób odprawiona klika krakowska — bojąc się zaczepiać Prusaków — gdyż ci wzięliby się naprzód do nich samych — uczynią odwrót do Krakowa — a wasi na Podole galicyjskie uprawiać kukurydzę a jeść mamałygę.

Golianek będzie kazał w kościele Panny Maryi — przepowiadając narodzenie Antychrysta w Warszawie — Stanisław Tarnowski będzie bardzo przyzwoitym profesorem — a Szujski przyjemnym sekretarzem, a może po śmierci Majera za gorącość wiary — a nie za zbyteczny rozum — mianowany zostanie prezesem.

I będzie cicho w kraju. Warszawka będzie się bawić i całemu światu zadawać szyku — a naród będzie uczciwie pracował.

Różowa nadziejo! Ty w złote malowidła ubierasz świat cały. Dziś nadzieje te nie są ani zbyt różowe, ani zbyt oddalone — jeżeli Moskwę dobrze Turcy — na złość i na zmartwienie waszego urzędowego *Czasu* — przetrzepią.

Dosyć polityki, wracam do plotek.

Warszawa pozazdrościła Lwowowi, a biada temu komu Warszawa zazdrości, bo to znaczy, że musi go naśladować i w naśladownictwie przewyższyć. Lwów miał wielką wystawę rolniczo przemysłową, która jak nam głoszą dzienniki, miała wypaść nie tak pod względem okazów, jak zwiedzających — bardzo świetnie. Na wystawie tej produkcye stowarzyszenia kobiet wzbudziły podziw, a więc i Warszawa dla podziwu samej siebie urządza *Wystawę pracy kobiet* od dwóch dni otwartą.

Słuchajcie — jak górnie i wzniośle pisze jeden z Kurjerków w dzisiejszym numerze:

...Tłumy obojej płci osób, między któremi przeważa naturalnie element niewieści, snują się po salach Muzeum przemysłowego, przyglądając się z ciekawością owocom trudu cichych i cierpliwych pracownic rodzinnych poddaszy *naszych* (jestem pewny, że autor z pewną dumą wspomniał o naszych poddaszach, jakby chciał powiedzieć: „Patrzcie Paryż ma swoje poddasza — a my mamy nasze, nie ustępujące tamtym co do wysokości nędzy), które po raz pierwszy wystąpiły tu obecnie tak licznie do współpracownictwa z pracą męską, na arenie jedynie godnego i właściwego dla wszystkich popisu“...

Szczęściem, że zwiedzać wystawę należy do szyku i do poświęcenia patryotycznego, dla tego sale jej pełne.

Czy uwierzycie, że była obawa czy nasze panie — wielkie panie modystki — przystąpią do wystawy!? Nie chciały się pospolitować na wystawie i posponować (wyrażenie *nasze* warszawskie) wspólnie z robotnicami na strychach — utrzymując, że się obejdą bez wystawy i reklamy. Były pewne, że wystawa ma związek z dobroczynnością — że jest otwarta dla nędzy nie umiejącej żebrać, zatem na cel dobroczynny... Nie mogły pojąć, że może coś być w Warszawie samoistnego — na coby dobroczynność nie położyła swej łapy, nie mogły pojąć, że mogą być jakieś inne cele, jak dobroczynne, bo nie są już zdolne widzieć nic innego w stosunkach ogólno ludzkich, jak tylko dobroczynność. Warszawa przesadziła dobroczynnością — a mimo to nędza się szerzy w zastraszający sposób. Należałoby innego poszukać lekarstwa oprócz tomboli i tym podobnych najnowszych wynalazków.

Nareszcie skaptowane przez zapalonych patryotów ustąpiły w połowie, a przybrawszy *jeden* mały pokoik ustawiły parę balowych sukien, tyleż sukienek — i stroików. Przyznacie, że na Warszawę troszkę za mało — gdy pomyślimy sobie, że to ona ubiera Litwę, Ruś, Finlandyę, pół Rosyi i część Syberyi.

Mimo to Kurjerek zupełnie nie wspomina, że tak mało — lecz zachwyca się że „tak wdzięcznie i smacznie wszystko ustawiono, iż wyjść się z tego pokoiku nie chce!“

Dalej *Kuryerek* codzienny w ten wspaniały sposób wyraża się:

„Wyroby szydełkowe i pończosznice lwią część wystawy zaabsorbowały“ — pomimo tej lwiej części jestem zdania, że sztuczne kwiaty są ozdobą wystawy.

Polki emigrantki z 1863 roku pierwsze nauczyły się w Paryżu tego kunsztu i przywiozły go do Warszawy. Między kwieciarkami paryskiemi najpierwszemi były panie Miecznikowska i Medekszyna, siostry.

W Warszawie do najpierwszych kwieciarek należą panie Karska i Daniłowska.

Są tam jeszcze foto-miniatury, fotografie, malowidła na porcelanie hr. Łubieńskiej — drzeworyty, wyroby ze skóry — wyroby instytutu głuchoniemych, lecz ponieważ nie jestem sprawozdawcą wystawowym, nie zajmuję się tymi przedmiotami, czekając jakie skutki — wystawa po sobie zostawi — jakie myśli lub idee poruszy — i jakie plotki po niej urosną. Tak plotki, bo te najlepiej ilustrują zwyczaje i obyczaje narodu, a nawet jego szlachetność i wyższe instynkta. Inne są plotki w Krakowie i Lwowie, a inne w Warszawie, różnica ich jest różnicą zapatrywań i usposobień mieszkańców tych miast.

Pisząc o wystawie, a zajmując się plotkami, muszę donieść, że podobno pani Lucyna Cwierciakiewicz, znana w Polsce autorka 365 obiadów za pięć złotych, chciała na wystawie urządzić kuchnię i dawać owe obiady—każdy po pięć złotych (75 kopiejek) — lecz ojcowie wystawy — którzy się widać mało znają na wystawach, odrzucili projekt. Nieustraszona *autorka* przenosi się na wy-

stawę paryską i tam będzie karmić rodaków własnymi obiadami po 2 i pół franka na osobę z winem. Ma to być kuchnia słowiańska. Gość nie potrzebuje nic więcej, jak wymówić swą narodowość, lub powiedzieć jakiego obiadu chce — polskiego — moskiewskiego — ruskiego — serbskiego lub kroackiego. Bułgarzy są pominięci — bo chociaż Rosyanie za nich krew przelewają, jak nas poucza *wasz* ukochany *Czas* — prawdopodobnie w chwili, gdy Moskale przestaną przelewać krew — Bułgarów nie stanie, czyli ich nie będzie — a więc i kuchni dla nich urządzać nie ma potrzeby.

Zdaje się, że pani Lucyna najlepiej rozwiązuje kwestyę słowiańską, gromadząc Słowian w Paryżu w zgodzie i spokoju przy jednym stole, w celu spożywania darów bożych, przyrządzanych podług wyrobionego smaku swych gości. Oby kiedyś w miejsce pani Lucyny Polska przygarnęła do siebie Słowian i była im, jako pani Lucyna, kucharką, dającą potrawy odpowiednie do ich wykształconego podniebienia i zwyczajów, a zaprawione solą attycką, smakiem estetycznym i ogólno ludzką miłością, szanującą ich pojęcia, wiarę, język, czucia i interesa!

Żeby się to stać mogło, na to potrzeba, aby biedna Polska wyszła nareszcie z powijaków niemowlęctwa politycznego — przestała być igraszką i niewolnicą kliki — która prowadząc przed sobą Jezuitów — stwarzając nowe cuda i nowe cudowne obrazy — fanatyzuje lud, ogłupia widmem anarchii szlachtę i coraz większą tworzy przepaść między Polską a innymi ludami słowiańskimi, które straciliśmy przez Jezuitów—i których właśnie z powodu Jezuitów nigdy choćby w najluźniejszej formie federacyi nie odzyskamy!

Czy Warszawka rozumie tę ciężką pozycyę narodu, to ciężkie brzemię, które na niego kładą narzucający się ich opiekunowie?...

Nie tylko, że nie rozumie, ale nawet nie ma pojęcia. Przygnieciona przez Moskali — zajęta drobiazgami miasta, które uważa za czyny wielkiej doniosłości, zaabsorbowana dobroczynnością, koncertami i zabawami— dumna z 50ciu pism peryodycznych, które jej w ładnie wyrzeźbionych filiżankach podają letnią wodę — nie jest zdolną wyjrzeć za rogatki własnego miasta, pomimo nawoływań prasy o wiadomości z prowincyi — a cóż dopiero od niej wymagać, aby trzeźwo i licznie spojrzała w przyszłość, choćby na przestrzeń dziesięciu lat!

Czekajmy więc, ufni w tę przyszłość, w którą zaglądać nie śmiemy, na odradzającą się młodą generacyę.

Siemiradzki i Matejko!... Na kolana!—krzyczeli starsi wiekiem na tę nadzieję naszą — na tę młodzież stojącą na chodnikach dworca kolei, gdy wysiadał Matejko. I młodzież uklękła! — Rozrzewniający był to widok, chociaż troszkę nienaturalny—przesadzony po warszawsku. Warszawka lubi namiętnie przesadzać, a to wszystko robi dla uwydatnienia siły i ciepła swego patryotyzmu.

Nie ma pewno większego wielbiciela Matejki, nademnie, lecz ciekawy jestem jakby Warszawa przyjmowała swego rzeczywistego bohatera, któryby wybawił ją z niewoli moskiewskiej. Jestem pewny, że Matejkę musiały zażenować tego rodzaju wybuchy—jego, który ma tyle smaku. Jak również jestem pewny, że gdyby Matejko nie posyłał swych dzieł na wystawę paryską a zatem i nie otrzymał na niej nagród — nie uwierzonoby w jego genialny talent — i niktby go nie witał wjeżdżającego do Warszawy, choćby jeszcze wspanialsze dzieła tworzył. Widać, że jedyna droga do serca Warszawy przez Paryż...

Komitet towarzystwa osad rolnych... Dosyć — dosyć—odpocznij sobie — zawołają piękne i brzydcy... A zatem dość plotkom!

Wielka rzecz pisać plotki — powie nie jedna z Lwowianek, która ich już tyle narobiła w życiu... Tak, nie jest to wielka sztuka w życiu i w literaturze — z tą tylko różnicą, że ja starałem się takie opowiadać plotki, z których mógłby skorzystać mąż stanu — filozof — historyk i badacz tajemnic serc ludzkich. Zresztą traktujmy wielkie sprawy jak plotki i zajmujmy się niemi tak gorąco jak plotkami — a wtedy pewno — pospolite plotki ucichną.

Warszawa dnia 29 października 1877 r.

O! WIESZCZKO! GDYBYŚ TY CHCIAŁA...

Wczoraj całym dzień płakała,
Noc otarła łzy;
Wzruszona, jeszcze drżę cała...
Jakie miałam sny!

Świetny salon złotem kapie,
A ja chodzę wciąż;
Przy kominku, na kanapie,
Siedzi sobie mąż.

Kamerdyner u kotary,
Stoi tuż, jak cień;
Bo pan mąż jest trochę stary,
I głuchy jak pień.

Ja z wyniosłym ruchem głowy
Zwracam mowę doń;
Pyszny dyadem brylantowy
Zdobi moję skroń;

Wdziewam suknię ogoniastą,
Na książęcy bal;
Widzę już, jak całe miasto
Rwie zazdrości żal.

Rozległ się turkot karety,
Pan mąż żegna mnie...
W tem budzę się... i niestety!
Już po złotym śnie!

Wzruszona, jeszcze drżę cała,
I patrzę przez łzy;
O wieszczko! gdybyś ty chciała
Ziścić moje sny!

M. Rodoć.

HEKTOR SERVADAC

PRZYGODY W PODRÓŻY
PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(*Ciąg dalszy*).

ROZDZIAŁ VII.

W którym Ben-Zuf sądzi, iż powinienby uskarżać się na gubernatora generalnego na zaniedbanie go.

W dziesięć minut potem gubernator generalny i „ludność" spali snem głębokim w izbie posterunkowej, ponieważ gurbi nie podniosło się jeszcze z ruin. Sen oficera w części był nieco zaniepokojony myślą, że wobec tylu nowych wydarzeń pozostawał w nieświadomości ich przyczyn. Chociaż nie był bynajmniej kosmografem, wytężywszy jednak pamięć, przypomniał sobie niektóre prawa ogólne. Zapytywał więc sam siebie, czy zmiana w pochyłości osi ziemskiej ku ekliptyce nie wywołała tych fenomenów.

Ale jeżeli podobna zmiana wytłómaczyłaby przeniesienie się morza, a poniekąd i punktów kardynalnych, to nie mogłaby spowodować skrócenia dnia, ani też zmniejszyć natężenia ciężkości na powierzchni kuli. Hektor Servadac prędko musiał się zrzec tego przypuszczenia, co go mocno martwiło, gdyż dalej nie wiedział co już przypuszczać. Ale zapewne szereg fenomenów nie skończył się jeszcze i być może, iż jaki nowy objaw wyprowadzi go na drogę. Przynajmniej miał nadzieję.

Na drugi dzień pierwszem staraniem Ben-Zufa było przyrządzenie dobrego śniadania. Należało pokrzepić się, do licha! Sam był głodny jak trzy miliony Algierczyków. Teraz była sposobność ostatecznego załatwienia się z kilkunastu jajami, których kataklizm nie dosięgnął. Gdyby się dodało do tego zupę *kuskusu*, którą ordynans umiał doskonale przyrządzać, uczyniłoby to pyszną ucztę.

Owóż piec znajdował się w posterunku, miedziany rądel błyszczał, jak gdyby tylko co wyszedł z rąk kotlarza, wody świeżej nie brakło. Zanurzywszy jaja na trzy minuty we wrzącej wodzie, Ben-Zuf podejmował się otrzymać je doskonale miękkie.

Ogień natychmiast został roznieciony i ordynans, według swego zwyczaju, począł nucić piosnkę wojskową.

A czy jest do woli
W naszej puszce soli?
I kawał pieczeni,
Czy się już rumieni?

Kapitan Servadac, przechadzając się, ciekawie spoglądał na te kucharskie przygotowania. Wyczekując nowych fenomenów, które mogłyby wydobyć go z niepewności, zapytywał sam siebie czy też nie wydarzy się jeszcze jaka osobliwość. Czy kuchnia będzie funkcyonować jak zwykle? Czy powietrze zmodyfikowane podda jej swój kontyngens tlenu?

Tak jest, ogień rozniecił się i pod przyspieszonym nieco podmuchem Ben-Zufa piękny płomień wybuchnął z pomiędzy trzasek, pomieszanych z węglami. Więc pod tym względem nie zaszło nic szczególnego.

Postawiono rądel na kuchni, woda rądel napełniła i Ben-Zuf czekał aż płyn kipieć pocznie, by pogrążyć w niego jaja, które wydawały się jakby próżne, tak były lekkie,

Dwie minuty nie upłynęły, a woda już się zagotowała.

— O, do licha! jakże teraz prędko ogień rozgrzewa! zawołał Ben-Zuf.

— To nie ogień więcej rozgrzewa, odrzekł kapitan Servadac, zastanowiszy się, lecz woda prędzej się zagotowuje.

I wziąwszy stustopniowy termometr, wiszący w posterunku na ścianie, zanurzył go w kipiącą wodę.

Termometr wskazał tylko sześćdziesiąt stopni.

— Masz tobie! zawołał oficer, woda gotuje

się przy sześćdziesięciu stopniach, zamiast przy stu.

— I cóż, panie kapitanie?

— A o to co, Ben-Zuf: radzę ci, byś pozostawił jaja dobry kwandrans w rądlu, a i wtedy bodaj czy będą zgotowane.

— Ależ będą twarde!

— Nie, mój przyjacielu, bodaj czy będą należycie rozgrzane.

Przyczyną tego fenomenu było widocznie zmniejszenie się wysokości pokładu atmosferycznego, co się zgadzało ze zmniejszeniem gęstości powietrza, już dostrzeżonem; kapitan Servadac nie omylił się. Słup powietrza na powierzchni kuli ziemskiej zmniejszył się o trzecią część prawie i dlatego to woda pod mniejszem ciśnieniem, gotowała się przy sześćdziesięciu stopniach, zamiast przy stu. Taki sam fenomen powtórzyłby się na szczycie góry wysokiej na jedynaście tysięcy metrów i gdyby kapitan Servadac miał barometr, mógłby już sprawdzić to zniżenie się kolumny atmosferycznej. Taż sama okoliczność wywołała u Ben Zufa i u niego osłabienie głosu, owo szybsze oddychanie i owo ściskanie się naczyń krwionośnych, z czem już oswoili się.

— A jednak, powiedział sam do siebie, trudno, zdaje mi się, przypuszczać, by nasze obozowisko przeniesione zostało na taką wysokość, ponieważ oto morze omywa skały nadbrzeżne!

Ale jeżeli tym razem Hektor Servadac wyprowadził wnioski słuszne, nie mógł jeszcze powiedzieć jaka ich przyczyna.

Tymczasem, dzięki przedłużonemu zanurzeniu, jaja prawie zgotowały się. Tak samo stało się z zupą. Ben-Zuf słusznie zauważył, iż na przyszłość wypadnie o godzinę wcześniej rozpoczynać kucharstwo — i podał do stołu swemu kapitanowi.

A podczas gdy ten zajadał z wielkim apetytem, pomimo tłoczących się myśli, Ben-Zuf zwykłym swym trybem zaczął:

— No i cóż, panie kapitanie?

— A cóż, Ben-Zuf! — odrzekł oficer, mający zwyczaj w ten sposób odpowiadać mu.

— Co teraz poczniemy?

— Będziemy czekać.

— Czekać?...

— Dopóki nie przyjdą po nas.

— Od morza?

— Rozumie się, że od morza, ponieważ teraz obozujemy na wyspie.

— Więc pan kapitan myśli, że koledzy...

— Myślę, a przynajmniej mam nadzieję, że katastrofa ograniczyła się tylko do niektórych punktów wybrzeża algierskiego, i że zatem nasi koledzy są żywi i zdrowi.

— Tak, panie kapitanie, trzeba mieć nadzieję.

— Niema więc co wątpić o tem, że generalny gubernator nie zechce mieć na sumieniu tego, co zaszło. Musiał on wysłać z Algieru kilka statków dla zbadania wybrzeży i spodziewam się, iż o nas nie zapomni. Pilnuj więc morza, Ben-Zuf, i jak tylko ukaże się okręt, poczniemy robić mu sygnały.

— A jeżeli nie ukaże się?

— Natenczas zbudujemy statek i udamy się do tych, którzy do nas przybyć nie chcieli.

— Dobrze, panie kapitanie. Więc pan jesteś marynarzem?

— Każden jest marynarzem, kto nim być potrzebuje, — odpowiedział bez wahania oficer sztabu głównego.

Otóż dlatego to Ben-Zuf, z perspektywą przed oczyma, bezustannie badał horyzont dni następnych. Ale żaden żagiel nie ukazywał się.

— Do stu Kabylów! zawołał — jego ekscelencya gubernator generalny coś zaniedbuje nas.

Dnia 6 stycznia sytuacya dwóch naszych wyspiarzów bynajmniej się nie zmieniła. Dzień ten 6ty stycznia był datą rzeczywistą, to jest kalendarzową, nim jeszcze dawna doba ziemska utraciła dwanaście godzin na dwadzieścia cztery. Kapitan Servadac nie bez powodu, w celu lepszego oryentowania się, trzymał się dawnej metody. To też chociaż słońce wschodziło i zachodziło dwanaście razy na horyzoncie wyspy, liczył on tylko sześć dni od północy 1go stycznia, jako od początku roku cywilnego. Zegarek służył mu do dokładnego notowania godzin upływających. Rożumie się, że zegar z wahadłem, w obecnych okolicznościach podałby mu godziny fałszywe, wskutek zmniejszenia się ciężkości; ale zegar poruszany sprężyną nie podlega wrażeniom atrakcyi i jeżeli zegarek kapitana był dobry, to musiał iść regularnie nawet po tylu wstrząśnieniach w fizycznym ustroju. Właśnie to się teraz wydarzyło.

— Do licha, panie kapitanie — rzekł wtedy Ben-Zuf, który zwąchał nieco literatury, zdaje mi się, że pan stajesz się Robinsonem, a ja zarywam na Piątaszka! Czy jestem murzynem?

— Nie, Ben-Zuf — odrzekł kapitan Servadac, jesteś pięknej białej cery... przyciemnionej.

— Piątaszek biały — odrzekł Ben-Zuf, — to nie jest według regulaminu, ale ja to wolę!

Więc 6 stycznia, widząc, że nikt nie przybywa, kapitan uznał za właściwe zrobić to, co przed nim robili wszyscy Robinsoni, to jest zbadać roślinne i zwierzęce zasoby swej posiadłości.

Wyspa Gurbi — takie nadał jej miano — miała powierzchni około trzech tysięcy kilometrów kwadratowych, to jest trzykroć stotysięcy hektarów; woły, krowy, kozy i owce znajdowały się tu w obfitości, ale ilości ich nie podobna było oznaczyć. Zwierzyny było podostatkiem i nie było obawy, by opuściła terytoryum. Zboża nie brakowało. Za trzy miesiące rozmaite jego gatunki mogły być zebrane i przechowane. A zatem wyżywienie gubernatora, ludności i dwóch kóz było najzupełniej zabezpieczone. Nawet gdyby nowi mieszkańcy wylądowali na wyspę, istnienie ich byłoby niemniej pewne.

Od 6 do 13 stycznia padał deszcz bardzo obfity. Niebo ciągle pokryte było gęstemi chmurami. Kilkakrotnie srożyła się burza, rzecz rzadka w tej porze roku. Ale Hektor Servadac nie omieszkał zauważyć, że temperatura nienormalnie miała się ku podwyższeniu. Dziwne to byłoby lato, poczynające się w styczniu! Drugie spostrzeżenie było jeszcze szczególniejsze, a mianowicie wzrost temperatury nie tylko ciągły, ale postępowy, jak gdyby kula ziemska przybliżała się ku słońcu, w sposób regularny i ciągły.

Wraz z ciepłem i światło także wytężało się i gdyby nie gęsta zasłona z chmur między niebem a powierzchnią wyspy, wszystkie przedmioty niezwykle były by oświetlone.

Głównie gniewało Hektora Servadac to, iż nie mógł obserwować ani słońca, ani księżyca, ani gwiazd, ani żadnego punktu tego firmamentu, który przecież możeby odpowiedział na jego pytanie, gdyby mgła rozproszyła się. Ben Zuf próbował parę razy uspokoić swego kapitana, zalecając mu tę rezygnacyę, którą sam doprowadzał aż do obojętności; ale tak źle był przyjęty, iż nie odważał się więcej nic mówić. Ograniczył się więc na należytem spełnianiu swych funkcyi. Pomimo deszczu, wiatru, burzy, dzień i noc czuwał on na szczycie skały nadbrzeżnej, kilka godzin tylko na sen poświęcając. Ale napróżno przebiegał wzrokiem horyzont niezmiennie pusty. Zresztą jakiżby statek mógł utrzymać się przy takiej pogodzie i wichrach? Morze podnosiło fale na niepojętą wysokość, a huragan szalał z niesłychaną wściekłością. Pewno, że w drugim okresie formacyi, gdy spienione wody, ulotnione z powodu gorąca wewnętrznego, wzniosiły się w kształcie pary w przestrzeń, aby potem strumieniami spaść na ziemię, fenomena epoki potopowej nie spełniały się z tak zdumiewającą siłą.

Ale dnia 13go potop ten ustał, jakby zaczarowany. Ostatnie porywy wiatru rozproszyły chmury w nocy z 13go na 14ty. Hektor Servadac, od sześciu dni zamknięty w posterunku, opuścił go, jak tylko ujrzał, że deszcz ustaje, a wiatr się uspokaja. Sam zaraz pospieszył na brzeg, morza. Co wyczyta z gwiazd? Ten wielki krąg przez chwilę widzialny w nocy z 31 grudnia na 1go stycznia, czy znowu ukaże się jego oczom? Czy tajemnica przyszłości zostanie nakoniec odkryta?

Niebo jaśniało. Żadna mgła nie zasłaniała jego kostelacyi. Firmament rozciągał się przed wzrokiem, jak ogromna karta nieba i kilka mgławic zarysowało się tam gdzie oko astronoma nie mogło ich przedtem rozróżnić bez teleskopu.

Pierwszem staraniem oficera było rozpatrzeć gwiazdę polarną.

Była ona widzialna, ale bardzo pochylona nad horyzontem i prawdopodobnem było, że nie służyła już za centralny punkt obrotu całego gwiaździstego systemu. Innemi słowami oś ziemska, nieskończenie wydłużona, nie przechodziła już przez stały punkt, jaki ta gwiazda zwykle zajmowała w przestrzeni. I w samej rzeczy, w godzinę potem widocznie zmieniła ona miejsce i zniżyła się nad horyzontem, jak gdyby należała do jakiej konstelacyi zodyakowej.

Pozostało więc wynaleźć jaka gwiazda ją zastępuje, to jest przez jaki punkt nieba przechodzi teraz przedłużona oś ziemska. Tem spostrzeżeniem Hektor wyłącznie zajmował się kilka godzin. Nowa gwiazda polarna powinna była być nieruchomą, jak dawniejsza, wpośród innych gwiazd, które w pozornym swym ruchu odbywały dokoła niej swój obrót dzienny.

Kapitan Servadac rychło przekonał się, że jedna z tych gwiazd spełniała warunki nieruchomości i zdawała się być między wszystkiemi innemi stałą. Była to Wega w konstelacyi Liry, ta sama, która za dwadzieścia tysięcy lat ma zastąpić gwiazdę polarną. Owoż, ponieważ od czternastu dni nie upłynęło dwudziestu tysięcy lat, należało wnioskować, że oś ziemska nagle zmieniła się.

— A zatem, zauważył kapitan, nie tylko oś zmieniła się, ale ponieważ przechodzi przez punkt tak zbliżony, przypuszczać należy, że morze Śródziemne przeniosło się ku równikowi.

I wpadł w otchłań myśli, podczas gdy wzrok błąkał się od Wielkiej Niedźwiedzicy, która stała się konstelacyą zodyakalną i której jeden tylko ogon wynurzał się wtedy z wód, aż do tych nowych gwiazd półsfera południowego, które po raz pierwszy ukazały się jego oczom.

Krzyk Ben-Zufa przywołał go na ziemię.

— Księżyc! krzyknął ordynans.

— Księżyc?

— Tak jest, księżyc! — odparł Ben-Zuf, zachwycony, że znowu widzi „towarzysza nocy ziemskich", jak mówią poeci.

I wskazywał na krąg, wznoszący się naprzeciw punktu, który słońce powinnoby zajmować w tej chwili.

Czy był to księżyc, czy inny jaki planeta podrzędny, zwiększony z powodu zbliżenia się? Kapitan Servadac byłby w kłopocie, gdyby mu przyszło orzekać o tem; wziął on dość silną lunetę, którą zwykle posługiwał się w swych robotach geodezyjnych i naprowadził ją na zapowiedzianą gwiazdę.

— Jeżeli to jest księżyc, powiedział, to przyznać trzeba, że bardzo znacznie oddalił się od nas. Teraz już nie na tysiące, ale na miliony mil potrzebaby obliczać jego odległość!

Po szczegółowem zbadaniu, sądził, iż może twierdzić, że wcale nie był to księżyc. Nie poznawał tego kręgu wybladłego, tej gry światła i cienia, które nadają mu poniekąd pozór twarzy ludzkiej. Nie dostrzegł tam ani śladów płaszczyzn, czyli wód, ani owej aureoli promieniejącej dokoła wspaniałej góry Tycho.

— Eh, nie! to nie księżyc! zawołał.

— Dlaczegożby niemiał to być księżyc? zapytał Ben Zuf, szczególnie dbający o swe odkrycie.

— Bo to ciało niebieskie samo posiada mały księżyc, służący mu za satelitę.

W samej rzeczy, jasny punkt, przypominający satelitów Jowisza, ukazujących się w instrumentach średniej siły, dość wyraźnie odbijał w lunecie.

— Ale jeżeli to nie księżyc, to cóż to takiego? zawołał kapitan Servadac, tupnąwszy nogą. Nie jest to Wenus, nie jest Merkury, ponieważ dwie te planety nie mają satelitów! A jednak chodzi tu o planetę, którego orbita zawiera się w orbicie ziemi, ponieważ towarzyszy słońcu w jego pozornym ruchu! Ale do licha! jeżeli to ani Wenus ani Merkury, to chyba będzie księżyc!... Ale gdzie u dyabła ukradł on tego satelitę?

(C. d. n.)

KRONIKA PARYSKA.

Paryż dnia 1. Listopada 1877 r.

(Dokończenie.)

Zbezcześciwszy w podobny sposób Molière'a, wykazawszy go nam w życiu prywatnem nierządnikiem i kazirodzcą, w życiu publicznem podchlebcą i zausznikiem, odmówiwszy mu wszelkiego ladajakiego nawet talentu, p. Veuillot uczuł potrzebę przeciwpostawienia tej czarnej, według zdania jego, postaci, innej, jasnej, świetlanej, stokroć więcej niźli Molière na miejsce w Panteonie sławy ojczystej, stokroć więcej na pośmiertne zasługującej honory.

Jest nią ojciec Bourdaloue, Jezuita, słynny, współczesny Molière'owi, kaznodzieja, i jeden z tych, którzy nań za „Tartufe'a" najzawziętsze podówczas ciskali gromy.

Niech nam wybaczy czcigodny katolicki literat, ale ten jeden fakt wystarcza, byśmy świetlaność ojca Bourdaloue pewnej poddali wątpliwości.

Cóżby go bowiem tak dalece w „Tartufie" rozgniewać mogło, jeśliby się do pewnego familijnego z bohaterem tej komedyi nie poczuwał podobieństwa? Ale ponieważ historya na to żadnych wiarogodnych nie składa dowodów, nie chcemy więc pożyczoną u p. Veuillot potwarczych przypuszczeń walczyć bronią i oręż ten zanadto jezuicki z wstrętem odsuwamy na stronę.

Głównym ojca Bourdaloue, według p. Veuillot, do wiekopomnej sławy tytułem, była szczerota, z jaką prałat ten nie wahał się królowi jego zdrożne wyrzucać obyczaje, z jaką w obliczu całego dworu, w przytomności wszechwładnej wówczas monarszej faworyty, pani de Montespan, prawiąc kazanie o „nieczystości" (l'impureté) wyraźne do niej czynił przycinki.

To nie był Molière, wykrzykuje z tryumfem adwokat katolicyzmu, to nie był Molière łaszący się królowi i w „Amfitryonie" i w „Księżniczce Elidy" jawnie jego potakujący rozpuście, to był Ojciec Bourdaloue, istotny chrześciański kaznodzieja, który słusznie na „prawdomowcy" zasługiwał nazwisko, i niech potomność rozsądzi między tymi dwoma ludźmi, tym, który napisał „Tartufe'a" i tym, który pierwszy z gwałtowną przeciw niemu wystąpił opozycyą, niech potomność rozsądzi, który z nich czystszym i większym przed jej stanie kratkami?

Potomność już rozsądziła, o zbyt prędko tryumfujący katolicki argumencisto; potomność już rozsądziła i przyznając ojcu Bourdaloue zaszczytne miejsce w rzędzie kaznodziejów francuskich, ani przez chwilkę na komiczne przeciwstawienia go Molière'owi nie siliła się przedsięwzięcie.

Nic zabawniejszego zaprawdę.

To jakby ktoś dla tego, iż Alfred de Musset lub Aleksander Dumas, pomimo talentu swego, nie koniecznie przykładne prowadzili życie i niekoniecznymi wzorami byli czystości, to jakby ktoś dla tego jakiemuś tam bardzo cnotliwemu, i bardzo ładnie co niedziela do mszy przegrywającemu organiście, pierwsze przed nimi w Panteonie sławy, przysądzać chciał miejsce. „Amfitryon" jakkolwiek p. Veuillot widzi w nim potakiwanie królewskiej rozpuście, zawsze pomimo tego cennym klejnotem dowcipu, zawsze pomimo tego prawdziwem acz drobnem jest arcydziełem, najpiękniejsze z kazań Ojca Bourdaloue jakkolwiek w swoim rodzaju wielką szczycące się wartością, żadnego przecież do porównania się z niem nie może mieć prawa. „Co kapucyn to nie starosta."

A i szczeroty Ojca Bourdaloue, a i przeciwpostawionego jej „łaszenia się" Molière'a, nie możemy bez głośnego zostawić tu protestu.

„Quod licet Jovi, non licet bovi." Nie pojmujemy dla czego p. Veuillot doraźne wydając sądy, tego tak powszechnie znanego nie przypomniał sobie przysłowia. Gdzie—gdzie bowiem, a tutaj ono najsłuszniejsze znajduje zastosowanie.

To, co kapłan z kazalnicy głosić może bezkarnie, to samo w ustach biednego, zaledwie że tolerowanego komedyanta, za nie do darowania uszłoby obelgę. Przed pierwszym, napominającym z ramienia Bożego, monarchowie nawet uchylają głowy, drugi, na bezpośrednich przycinków, jak mówi p. Veuillot, puszczając się pole, obudziłby się nazajutrz rano w Bastylii, a może i jeszcze gdzieś dalej. Wytykając królowi zdrożne jego obyczaje Ojciec Bourdaloue dopełniał swego obowiązku, czyniąc to samo komedyant Molière przekraczałby granice swego. Punkt zapatrywania się na rzeczy obydwóch moralistów był zresztą, i musiał być wielce różnym. Inaczej ludzkość i błędy jej sądzi Dumas, inaczej biskup Dupanloup naprzykład. To, co w oczach pierwszego świeckiego człowieka zwyczajną, zaledwie że godną wzmianki jest tylko słabostką, to samo w oczach drugiego duchownego pasterza, rozmiary śmiertelnego przybiera grzechu. Spowiednik może gromić penitenta za nieuczęszczanie do kościoła naprzykład, za niedopełnianie przepisanych przez religię obrządków wiary; ale jakby wyglądał, pytamy, pisarz dramatyczny, któryby tego rodzaju przestępstwa za cel swych scenicznych wybrał sarkazmów? Król Ludwik XIV młodym podówczas był człowiekiem, i jako taki, mógł tam sobie zapewne od czasu do czasu, z bezwzględnie surową rozminąć się moralnością, karcić go za to było duchownego jego dozorcy zadaniem i powinnością. Ale Molière, człek świecki, stokroć więcej doczesne tu życie, niźli żywot tam przyszły mający na względzie, ale Molière, powiadamy, dużo innych do ujeżdżania miał rumaków, „il avait bien d'autres chats à fouetter"— mówiąc po francusku, i zbywało mu czasu do harcowania na podobnym kucyku.

A kiedy już mowa o łaszeniu się i o potakiwaniu królewskiej rozpuście, to na jednego Ojca Bourdaloue, który tego nie czynił, klerykalizm francuski wydał wielu innych pasterzy i nie lada jakich w tym chlubnym odznaczających się zawodzie.

Iż wymienimy tylko Bossuet'a, o którym Chateaubriand (świadek nieposzlakowanej wiary), powiada, że z żalem widzi go adwokatującym za królem przed panną de la Vallière, i Massillon'a, który dla przypodobania się Regentowi, przyjmuje na siebie misyę, odrzuconą przez innych współczesnych duchownych, wyświęcania na godność biskupią takiego wisielca i intryganta, jakim był Dubois niecnej pamięci.

Dla czegoż pan Veuillot, mówiąc o dworactwie, dwóch tych sławetnych prałatów choć pobieżnem nie potrącił wspomnieniem?

Dlaczego? Naiwne pytanie. Dla tego, iż to nie leżało w jego zadaniu, a zadaniem tem było sfałszować historyę, splugawić jednę z najpiękniejszych sław Francyi i na osieroconym po niej piedestale schlebiającego swoim przekonaniom posadzić Jezuitę. Że zadanie takie udać się nie może, to z góry wyproroczyć nie trudno. Sława Molière'a nadto jest utrwaloną, nadto pod straż całej cywilizowanej oddaną ludzkości, by krogulcze szpony klerykalizmu jakiemkolwiek zagrażały jej niebezpieczeństwem. Daremne więc strachy. Lecz tentacya pozostała zawsze tentacyą, i książka pana Veuillot przejdzie do potomności jasnym dowodem jednej rzeczy, mianowicie: iż to, na co zawdzięczającemu sławom Francyi Prusakowi nie starczyłoby może odwagi, tego ultramontanin Francuz z bezczelnym podjąć się zdoła cynizmem.

Teodor Barrière, ten sam, o którym wam, iż Palais-Royal nową jego Les demoiselles de Monfermeil odegrywać ma sztukę, w przeszłym naszym donosiliśmy liście, Teodor Barrière, po krótkiej chorobie, nagle prawie przeniósł się do wieczności. Jakkolwiek nigdy osobliwszego do pisarza tego nie mieliśmy nabożeństwa, nie możemy jednakże śmierci jego dotkliwą dla dramatycznej sztuki francuskiej nie uznać stratą. Był to talent w rodzaju Sardou, wybitne tejże samej szkoły noszący znamiona. Nie powiemy, iżby świat widział źle, absolutnie źle, powiemy, tylko, iż widział go przez jakieś specyalne i niekoniecznie szerokie szkiełka, i że nie ochwytując

nigdy i w niczem całości opisywanej rzeczy, do drobnych jej, bardzo nieraz drobnych czepiał się detali. Komizm jego wytwarzał zabawne sceny, dowcipne, śmieszne sytuacye, nie zdobył się nigdy na wytworzenie choćby jednego typu, żywcem, iż tak rzekniem, społeczną jakąś personifikującego przywarę.

Wracając do tylko co bronionego przez nas Moliére'a i z liku produkcyi jego jedno tylko wybierając arcydzieło, Skąpca (l' Avare) naprzykład, ujrzymy, iż komedya ta nie tyle uderza nas zabawnością scen i sytuacyi, ile tem, iż odkąd świat światem był, jest i będzie, odtąd wszyscy rozkochani w pieniądzach synowie społeczeństwa, w bohaterze jej, w Harpagonie, żywy swój dostrzedz muszą wizerunek, odtąd nikt skąpca inaczej jak w postaci Harpagona wyobrazić sobienie zdoła.

Otóż takiego typu brak zupełny w kreacyach szkoły dramatycznej, ufundowanej ongi przez Scribé'go, a której w ostatnich czasach zmarły Barriére z Sardou dzielił naczelnictwo. Nawet w tym z utworów nieboszczyka, który największem chlubiąc się powodzeniem, najlepszą talentu jego dać może miarę (chcemy mówić o „Fałszywych poczciwcach, Les Faux Bonshommes") nawet w nim typu takiego szukalibyśmy daremnie. Fałszywi poczciwcy nieboszczyka Barriére, reprezentują może ujemną stronę kilku jednostek, pewnej klasy mieszczaństwa francuskiego, ale gdzież im do reprezentowania czegoś więcej i dalej? Według nas, żadnej do tego mieć nie mogą pretensyi. Jeśli zatem najlepszy z utworów zmarłego tyle o sobie powiedzieć pozwoli, to czemże są gorsze, pytamy. Niczem, mniej lub więcej udatną, lecz zawsze tylko chwilową zabawką dla pragnącego widowisk tłumu, efemerycznem cackiem jednego pokolenia, czemś, o czem po dwudziestu pięciu, najwięcej po pięćdziesięciu leciech, specyalni tylko po kronikach dramaturgii wiedzieć będą szperacze. Myliłby się albowiem bardzo, ktoby powodzenie w danej chwili, na razie, brał za miarę wartości dzieła i długowieczności jego na przyszłość. Niedawno któreś z perjodycznych pism tutejszych, które nie pamiętam, wyszperało dość ciekawy dokument, mianowicie: listę różnych literatów z czasów Ludwika XIIIgo i Ludwika XIVgo, którym rząd owoczesny w nagrodę ich piśmienniczych zasług, rozmaite udzielał pensye. Otóż na liście tej figurują nazwiska podchlebnemi, wielkich i szczytnych poetów, ozdobione epitetami, o których świat zapomniał dziś zupełnie i egzystencya których dla przeważnej większości ludzi, nawet zkąd inąd bardzo wykształconych, zupełną może być tajemnicą.

Tak naprzykład, w liku innych Chapelain, autor sążniście długiego i sążniście też nudnego, epicznego poematu, pod tytułem Dziewica z Orleanu (La pucelle) figuruje na wspomnianej liście pod nazwą największego poety francuskiego (Le plus grand poéte français). Z wyjątkiem szczurów bibliotecznych a profesorów literatury po kolegiach, kto dziś co wie o Chapelainie, pytamy? kto dziś na przeczytanie arcydzieła jego dość bohaterskiej posiada odwagi? Lecz śmiejąc się z przeszłości, zapominamy o tem, że i my często jej zdążamy torem, to jest, że wieńczymy i podnosimy pod niebo dzieła przemijającej czasowej wartości, że ogłaszamy wielkimi tych, którzy wnukom naszym jutro, jak nam dziś Chapelain, starym, zbutwiałym ubiegłych wieków wydadzą się tylko gratem. To nie przeszkadza, iż śmierć Teodora Bairrére za istotną dla współczesnej dramatycznej sztuki we Francyi policzoną być może stratę. W epokach nieurodzaju, a taką jest epoka obecna, byleby ubytek, trudną do wypełnienia w nielicznych zbiorach wytwarza lukę. Nieboszczyk nie pracował dla przyszłości, zapewne, to silnem naszem jest przekonaniem, lecz pracował dla dnia dzisiejszego, że więc współcześni po nim płaczą, że więc współcześni, aż do pojawienia się godnego sukcesora, ciężką po nim wkładają żałobę, temu się nie dziwić, temu tylko współczuć można.

To też czynimy.

W jednym z dzienników tutejszych, w Gaulois, dość zabawną wyczytawszy wiadomość, spieszymy na zakończenie listu, podzielić się nią z łaskawych czytelników kołem. Niejaka panna Huberta czy Hubertyna (Hubertine) Auclerc, powiada Gaulois, wpadła na myśl założenia Towarzystwa asekuracyjnego przeciwko bezżeństwu mężczyzn, na wzór tych, jakie egzystują przeciwko klęskom ogniowym, gradobiciu i t. d.

Jedną z głównych, jeśli nie najgłówniejszą, przyczyną, coraz to bardziej wzmagającego się stronienia mężczyzn od stanu małżeńskiego, jest drożyzna życia i wydatki, jakie pojęcie żony pociąga za sobą zwykle i pociągać musi koniecznie. Ztąd polowanie na sute posagi, ztąd nieszczęśliwy los tylu nieobdarzonych niemi panien, które daremnie jakiegoś gardzącego mamoną, (zjawisko coraz to rzadsze) czekając amatora, więdną i usychają jak... mniej więcej poetyczne—sami tu dodajcie — porównanie.

Otóż Towarzystwo asekuracyjne przeciwko bezżeństwa mężczyzn ma na celu zapobieżenie tak nieszczęśliwemu stanowi rzeczy.

Dla tego potrzeba, by wszyscy rodzice, wraz z przyjściem na świat każdej nowej swej córeczki, zgodzili się w wielkiej wspomnianego Towarzystwa imatrykulować ją księdze i zobowiązali się do płacenia pewnej dorocznej kwoty pieniężnej, która odpowiednio do wymagalnego w przyszłości posagu, będzie mniejszą lub większą, to się samo przez się rozumie.

Towarzystwo przez lat 20 lub 25 takowe pobierając tantiemy i na różne korzystne używając je przedsięwzięcia, będzie mogło po upływie tego czasu, w razie gdyby wdzięki panny nie wystarczały same na znalezienie jej przyzwoitego aliansu, podeprzeć je pewnem z góry umówionem quantum posagu.

Projekcik powabny, nieprawdaż? Wątpimy jednakże, by gdziekolwiek i kiedykolwiek praktyczne znalazł zastosowanie. Utyka on według nas głównie na tem, iż oczekując na posag wypłacalny przez Towarzystwo po 25ciu, przypuszczam leciech, nikt by młodszej nad ten wiek nie szukał żony, żadna z panien przed tą epoką w małżeńskie nie spieszyłaby się śluby, co by akcyonaryuszów przedsięwzięcia na ciągłe wypłaty i na niechybne narażało bankructwo. W każdym razie projekt egzystuje i możecie, jeśli wola, między galicyjskiemi propagować go mamami.

Ot i list skończony.

Do przyszłego.

J. S. Chamiec.

P. S. Po ukończeniu już niniejszej kroniki wpadł nam w ręce tom Żywotów Świętych Pańskich. Przerzucając takowy, znaleźliśmy w nim Świętego Genestyusza, (Saint Genest po francusku), który całe swe życie aktorskiemu poświęcał się zawodowi i pomimo tego na miejsce wśród wybranych Pańskich zasłużył. Co na to powie pan Ludwik Veuillot? Czy Święty Genestyusz także był upośledzonym moralnie?

Żegnajcie.

J. S. Ch.

KRONIKA PRZYRODNICZA I PRZEMYSŁOWA.

(Leverrier. Jego prace astronomiczne. Odkrycie Neptuna. Planety między-merkuryalne. Jeszcze o nowej gwieździe w konstellacyi łabędzia. Hipotezy co do jej powstania. Zdania Vogla, Lindsaya i Lockyera. Chrząszczyk ko'orado. Niebezpieczeństwo grożące polom kartoflanym europejskim. Szkło hartowane pana de la Bastie. Nowy sposób hartowania p. F. Siemensa. Wino posiadające 1600 lat wieku.)

W dziejach rozwoju nauk astronomicznych, tak bogatych w najświetniejsze imiona, jedno z miejsc najpierwszych zajmuje zgasły niedawno Leverrier. Trudno znaleść imię, które mogłoby się poszczycić takim szeregiem prac oryginalnych, wykończonych w najdrobniejszych szczegółach, ścisłych i odznaczających się wysokim polotem myśli. Któż nie zna odkrycia za pomocą rachunku Neptuna, odkrycia stanowiącego prawdziwy tryumf nowej nauki astronomicznej? To jedno zdołałoby już zapewnić mu sławę nieśmiertelną.

Urban Jan Józef Leverrier urodził się w St. Lo w Normandyi d. 11. marca 1811. Był studentem w szkole politechnicznej i ukończył swe studya z odznaczeniem. Po wyjściu ze szkoły otrzymał posadę inżyniera przy administracyi rządowej monopolu tytoniowego, która mu pozwalała poświęcać wiele czasu na dalsze studya naukowe. Zrazu rzucił się Leverrier do chemii i w r. 1837 ogłosił swe pierwsze poszukiwania oryginalne nad nowem połączeniem fosforu i tlenu. Lecz wrócił prędko do matematyki i astronomii, które były jego ulubionem zajęciem i rozpoczął pracę astronomiczną olbrzymich rozmiarów, o której ukończeniu doniósł paryzkiej Akademii d. 21. grudnia 1874. Zajęła mu ona 35 najlepszych lat życia.

Żeby zdać sprawę z tego długoletniego trudu, musimy dać kilka ogólnych objaśnień. Badania wykazały, iż masa słońca w porównaniu do innych planet jest tak olbrzymią, że zdolną jest do rządzenia ruchami wszystkich innych planet, nie podlegając sama żadnej widocznej dysturbacyi, którąby nastąpić mogła wskutek wpływu siły ciążenia planet, odbywających około słońca swą drogę. Jeżeliby nawet wszystkie planety były umieszczone po jednej stronie słońca i działały w jednej prostej, tak że siła przyciągająca ich wszystkich byłaby połączoną, to słońce podlegałoby dysturbacyi (tj. zboczeniu), nie wynoszącej więcej nad jego promień, a cóż dopiero powiedzieć można o zboczeniu słońca wtedy, gdy wszystkie planety są w około niego rozrzucone i działają ze stron rozmaitych. Słońce więc posiada siłę zupełnie wystarczającą do kontrolowania ruchów wszystkich planet. Inaczej rzecz się ma z temi ostatniemi, które nieraz bardzo silnie wpływają jedna na drugą i sprowadzają ciągłe zboczenia z właściwej drogi. Lecz wpływ ten bywa rozmaity, i jest zależnym od masy planety; im większa masa, tem planeta silniej działa na inne i zmusza je do większego zboczenia z drogi. I odwrotnie im większe obserwujemy zboczenie którego z takich planet, tem większą musi być masa planety, która to zboczenie wywołała. Otrzymujemy w ten sposób środek oznaczenia masy tych ciał, które zboczenie wywołują.

Otóż Leverrier postawił sobie za zadanie zbadanie tych zboczeń i oznaczenie na ich podstawie masy siedmiu znanych naówczas planet; a zadanie to było niezmiernie trudnem ze względu na ogromną ilość wpływów, pochodzących od ciał najrozmaitszych, które trzeba było wprowadzić w rachunek. Zajmowało to nieraz całe miesiące bez przerwy najżmudniejszego rachunku. Weźmy naprzykład pod uwagę przykład następujący. Samo obliczenie dokładne ruchu ziemi potrzebowało przedyskutowania i przerachowania dziewięciu tysięcy spostrzeżeń, a stanowiło to tylko jednę małą część całkowitej pracy. Okazało się w ciągu rachunku, że obserwacye nad słońcem były niewystarczające, niedokładne, że więc niezgodę pomiędzy teoryą a obserwacyami należy przypisać niedokładności dat zebranych z dotychczasowych spostrzeżeń. Badając pozorne miesięczne zboczenia słońca

dowiódł, że odległość jego od ziemi nie jest dokładną i że różnica przyjmowanej dotychczas odległości od prawdziwej jest bardzo znaczną.

Gdy w dalszym ciągu swej pracy Leverrier badał bieg Urana (za jego czasów najodleglejszej planety), przekonał się, że nie można sobie wytłumaczyć niektórych zboczeń tego planety, bez przypuszczenia działania jakiegoś ciała dotychczas nieznanego, krążącego po za obrębem Urana. Ścisłym obrachunkiem oznaczył Leverrier drogę tego nieznanego ciała i dał wskazówki, gdzie go szukać należy. W sześć miesięcy potem, d. 1. stycznia 1847, Neptun został odkryty w miejscu oznaczonem przez wielkiego astronoma. Żadne może astronomiczne odkrycie nie było przyjęte z takim entuzyazmem. Imię Leverriera powtarzanem było z uwielbieniem przez świat cały cywilizowany i Neptun na zawsze przypominać będzie swego odkrywcę.

Najświeższe badania Leverriera nie miały takiego powodzenia. Wspominaliśmy już kilkakrotnie na tem miejscu o planetach, które według obliczeń tego astronoma mają się znajdować pomiędzy słońcem a najbliższym znanym planetą, Merkurym. Dotychczas, pomimo ogólnego zainteresowania się astronomów, i jak najstaranniejszych obserwacyi, nic nie odkryto pewnego i pomimo tylokrotnych doniesień o odkryciu planet nowych, żadne nie okazało się bez zarzutu i dotychczas nie ma stanowczego rezultatu. Martwiło to Leverriera, jak powiadają, aż do samej śmierci.

Z poszukiwań w tym kierunku znane są jego tablice Wenery, obliczone w sposób jak najściślejszy i studya nad biegiem Marsa, oraz nad wpływem pierścienia asferoidów na tę planetę.

Od 1853 Leverrier był dyrektorem paryskiego obserwatoryum. Spotykały go przez ten czas zarzuty, odnoszące się do jego zgryźliwości i opryskliwości; lecz człowiekowi takiego trudu mozolnego, pożerającego życie całe, wybaczają się takie zboczenia.

W ostatnich chwilach wytężał się, przy pomocy nowego, znakomitego teleskopu, nad wyszukaniem oczekiwanego między słońcem a Merkurym planety. Lecz trud ten już przechodził jego siły, i wreszcie umarł w 66 roku życia, nie opuszczając ciężkiej pracy aż do końca.

Skonał dnia 23. września 1877.

* * *

Czytelnicy naszych kronik przypomną sobie nową gwiazdę, która została w zeszłym roku odkrytą w konstellacyi Łabędzia. Zajaśniała ona jaskrawem światłem, błyszczała z wielką siłą przez dni kilka i następnie coraz bardziej blask jej przygasał, i dziś jest już zaledwie 11tej wielkości. Pomimo najstaranniejszych badań, wspieranych tak potężnymi środkami jak nowe spektroskopy, nie zdołano sobie dobrze wytłumaczyć tego zjawiska, a przynajmniej zgodzić się na jakieś ogólne, przybliżone objaśnienie Dotąd jeszcze jest kwestya w zawieszeniu i ścierają się trzy hypotezy, reprezentowane przez pp. Vogla, lorda Lindsaya i prof. Lockyera.

Oto w ogólnem streszczeniu te trzy hipotezy:

1. Vogel twierdzi, że w miejscu gdzie pokazała się nowa gwiazda, była gwiazda ostygła, na powierzchni której wybuchło rozpalone jądro i świecić poczęło.

2. Lord Lindsay twierdzi, że to nowa powstała mgławica.

3. Prof. Lockyer zaś twierdzi, że gwiazda nowa jest niczem więcej, jak tylko rozpalonymi meteorytami, które zapaliły się prawdopodobnie przez uderzenie.

Każde z tych przypuszczeń ma wiele stron mówiących za i przeciw. Ważną nadzwyczaj rzeczą jest spostrzeżenie w widmie tej nowej gwiazdy barw ciągłych, nieprzerywanych, i jasnych prążków jednocześnie. Mniemają powszechnie, że jasne prążki pochodzą od gorejących gazów, które wybuchają na powierzchni ciała. P. Vogel skłania się w swem tłumaczeniu pojawiania się tak zwanych nowych gwiazd, ku hipotezie Zoelnera, która powiada, że z czasem na powierzchni gwiazdy zgromadzają się, wskutek ochłodzenia przez wypromieniowanie cieplików, części stałe, rodzaje żużlów, które po bardzo długim okresie czasu mogą zaćmić całą świecącą kulę, a przynajmniej przyćmić znacznie jej siłę świetlną. Jeśli zaś, wskutek jakiejś katastrofy, wewnętrzna rozpalona masa wybuchnie na powierzchnię, to wtedy powstaje zjawisko, które określamy nazwą nowej gwiazdy.

Jak wiadomo, stałe ciała rozpalone dają widmo ciągłe, nieprzerywane, a gazy gorejące dają jasne prążki. Otóż, jak wspomnieliśmy, widmo ostatniej nowej gwiazdy posiadało te obie własności, lecz gdy światło stawało się coraz słabsze, barwy widma ciągłego znikały, i nareszcie pozostała tylko jedna barwa, która odpowiadała zupełnie widmu niektórych mgławic. Na podstawie tych obserwacyi lord Lindsay twierdzi, że z ciała stałego powstała mgławica, że więc nastąpiła odwrotna przemiana, jak w utworzeniu się naszego systemu słonecznego, który powstał z mgławicy. Mielibyśmy więc pierwszy przykład zamiany ciała niebieskiego na rozpaloną mgławicę.

Prof. Lockyer daje z kolei zupełnie innego rodzaju objaśnienia. Twierdzi on na podstawie rachunku (wykonanego przez Crolla), że gdyby gwiazda zajaśniała wskutek gwałtownego wybuchu, to trzebaby było całych tysięcy lat, żeby można zauważyć zmianę w natężeniu światła, tak wielki by się tam zapas cieplika wytworzył, a tymczasem nowa gwiazda nadzwyczaj szybko utraciła swą jasność i z gwiazdy 3. wielkości, zeszła do rzędu jedenastego. Gdyby nowa gwiazda pojawiła się wskutek uderzenia o siebie dwóch gwiazd stałych, to wtedy nawet trzebaby było wielu tysięcy lat na zauważanie jakiejkolwiek zmiany. Przypuszcza więc on, że w tym wypadku nastąpiło rozżarzenie się małych meteorytów, które się uderzyły o siebie i rozpaliły.

Widzimy więc, jak różne są jeszcze dotąd zdania o tem zjawisku i trzeba będzie prawdopodobnie długo jeszcze czekać na pojawienie się jeszcze jednej nowej gwiazdy i na ostateczne wytłumaczenie przyczyny jej powstania.

* * *

Z pomiędzy nazw najczęściej w ostatnich czasach powtarzanych, znanych więcej niż nazwiska członków zgromadzenia francuskiego, lub nawet nazwy miast i przesmyków, w których miały miejsce krwawe zajścia w wojnie obecnej, jest słowo oznaczające małego chrząszczyka amerykańskiego, który potrafił zaniepokoić całą uprawiającą kartofle Europę. Domyślą się czytelnicy, że mamy na myśli chrząszcza kolorado, nowego wroga rolników naszych. Chrząszczyk ten nosi nazwę łacińską *Doryphora Decemlineata* i gdy się po raz pierwszy ukazał w tym roku, w czerwcu koło Mühlheimu, to cała Europa została zawiadomioną telegraficznie o tym wypadku, a dzienniki przez długi czas umieszczały sprawozdanie o walce z tym drobnym, lecz niebezpiecznym wrogiem.

Pola, na których znaleziono chrząszczyki, zostały spalone, lecz czy chrząszczyki zostały wyniszczone zupełnie, to jest pytanie, na które trudno odpowiedzieć. Samo spalenie pola nie wystarczało, gdyż wydelegowany przez rząd niemiecki prof. Gerstaeker do zbadania złego, na miejscu przekonał się, iż spalenie nie wygubiło szkodnika, gdyż na kilka cali pod powierzchnią ziemi znalazł poczwarki, które się tam przemieniały na chrząszczyków, trzeba więc było gubić te istoty i w głębi ziemi. Lecz czy to wszystko uchroni od pojawienia się ich w roku przyszłym? To co znaleziono w Mühlheim było według wszelkiego prawdopodobieństwa potomstwem jednego chrząszczyka. Czyż w jakim innym zakątku Niemiec nie skrył się drugi, a może i trzeci egzemplarz, którego potomstwo zniszczyć może w latach paru całe pola kartoflane niemieckie? Zdaje nam się, że mimo nadzwyczajnych wysileń rządu niemieckiego, katastrofy tej uniknąć będzie trudno, chyba że ktoś wynajdzie sposób niszczenia tych chrząszczów na polach samych. Środki prewencyjne w tym względzie udawać się mogą tylko do czasu pewnego.

Trzeba w każdym razie oddać sprawiedliwość rządowi niemieckiemu, że z niezmierną energią i znajomością rzeczy wziął się obrony pól swoich.

* * *

Parę lat temu wiele bardzo mówiono o szkle hartowanem, wynalazku pana Royer de la Bastie, który polega na tem, że szkło ogrzewa się do czerwoności prawie i potem się zanurza w kąpieli oziębiającej, stosownie przyrządzonej. Wskutek tego procesu szkło staje się bardzo twardem i wytrzymałem. Od tego czasu podano kilka nowych sposobów, lecz wszystkie one wymagają, żeby przedmiot szklanny przed hartowaniem, był kompletnie sformowanym i posiadał już formę ostateczną. Naturalnie, że wskutek tego koszta produkcyi musiały się podnieść znacznie, a jeszcze jest i ta niedogodność, że rozpalone do czerwoności przedmioty, stają się miękkimi i niepodobna je prawie przenieść z pieca do kąpieli bez nadwerężenia kształtu. Szczególniej daje się to odczuwać na szybach okiennych. Oprócz tego kąpiel z oleju (zagrzana do wysokiej temperatury, która się zmienia stosownie do rodzaju szkła), łatwo się zapala od szkła rozpalonego, a zawsze wydaje zapach obrzydliwy. To są główne niedogodności wynalazku pana De la Bastie.

P. F. Siemens od czasu odkrycia szkła hartowanego bardzo usilnie zajmował się badaniem tej nowej metody i starał się wprowadzić kilka nowych ulepszeń. Starania jego zostały w ostatnich czasach uwieńczone szczęśliwym skutkiem, jak o tem donoszą specyalne pisma niemieckie. P. Siemens usuwa zupełnie mokrą kąpiel p. de la Bastie i hartuje szkło umieszczając je między ciałami stałemi, wciskając je w odpowiednie formy. Przekonał się on, że ciała stałe zastąpić mogą w niektórych wypadkach, a szczególniej przy szybach okiennych, kąpiel p. De la Bastie. Sposób p. Siemensa ma tę ważną zaletę, że formowanie i hartowanie odbywa się jednocześnie. Lecz ponieważ potrzebna jest ta forma, więc sposób pana Siemensa ma swój ściśle oznaczony zakres działania. Można powiedzieć, że sposoby De la Bastie i Siemensa mają różne sfery działania i uzupełniają się wzajemnie. Pierwszy najużyteczniejszy jest w fabrykacyi naczyń skomplikowanych, rur itp., drugi w mniejszych i bardziej prostych przedmiotach.

Opór szkła Siemensa przeciw rozbiciu od uderzenia jest 10 razy większy niż w szkle zwykłem, a jego cena jest o 50% wyższą.

* * *

W Aliscamp koło Arles znaleziono szklanne naczynie, zawierające jakiś płyn brunatnawej barwy, w którym zawieszony był stały osad. Rolnik orząc głęboko wydobył je na powierzchnię. Było to na obszernej równinie, która za rzymskich czasów była cmentarzyskiem, a raczej miejscem palenia trupów. Według zdania archeologów naczynie znalezione pochodziło z czasów pierwszego zajęcia Gallii przez Rzymian. Miało ono kształt lampy starożytnej wiszącej i było po napełnieniu płynu szczelnie zalutowane. Prawdopodobnie była to ofiara przyniesiona bogom lub też duchom umarłych - taki bowiem był zwyczaj w owych czasach.

Naczynie to było wystawione w Marsylii w Muzeum Borely. Słynny chemik francuski, zwiedzając je w miesiącu maju, zaciekawiony był płynem w naczyniu zawartym i prosił o pozwolenie zbadania tego płynu na drodze chemicznej. Wylano płyn i Bertelot na posiedzeniu Akademii paryskiej przedstawił swym kolegom wino, które według wszelkiego prawdopodobieństwa miało 1.600 lat wieku! Płynem bowiem zawartym w tem naczyniu starożytnem, było najczyściejsze wino, które się przechowało aż do naszych czasów z powodu hermetycznego zamknięcia naczynia. Lecz niestety maksyma, że „czas psowa wszystko pod słońca okiem, z wyjątkiem wina, które się poprawia z każdym rokiem,“ nie okazała się tutaj prawdziwą. Wino było już cokolwiek za stare! Barwa jego nie okazała się wcale zachęcającą — pływały w niem męty, a smak miało podobny do wina przegotowanego z tłustem jakiemś ciałem. Zapach jednak był winny i uderzał zaraz po otworzeniu flaszeczki. Smak miało to wino ostry i cierpki z powodu dość znacznej ilości alkoholu, kwasu i śladów aromatycznych substancyi. Barwnik zniknął był prawie zupełnie i znaleziono zaledwie tylko ślady cukru. Berthelot oddzielił alkohol, którego był tam dość znaczny procent, ilość kwasu była normalną.

Jeżeli z uszanowaniem stajemy przed winem stuletniem, jeżeli schylamy czoło przed beczką bremeńską, na której stoi data 1624, to wyobrazić sobie możemy z jakiem namaszczeniem Akademia paryska przyglądała się kieliszkowi wina, które przetrwało lat 1600!

B. A.

TEATR.

(„Oboje,“ komedya w dwóch aktach J. Zacharjasiewicza; „Ożenić się nie mogę,“ pośmiertna komedya Aleks. hr. Fredry.)

Obecny sezon teatralny mało jest ożywiony, jakkolwiek początek jego był świetny i wiele obiecujący. Ale ten początek, to jest wystawa lwowska z „Panem Damazym“ na scenie, był niejako wysileniem, po którem bardzo prędko nastąpiła reakcya.

Nie można przecież powiedzieć, żeby i po „Panu Damazym“ nie dawał nasz teatr nowości, i owszem, niemal każdego tygodnia zjawia się coś nowego na scenie; ale są to przeważnie drobnostki, które nie budzą większego zajęcia.

W ubiegłym tygodniu mieliśmy aż dwie takie nowości: „Oboje,“ komedyjkę p. Zacharjasiewicza i jeden z pośmiertnych utworów Fredry „Ożenić się nie mogę.“ Obie przeszły przez scenę, nie wyrywszy śladów głębszego wrażenia.

„Oboje,“ o ile wiem, jest pierwszym utworem dramatycznym pana Zacharjasiewicza, pierwszą próbą tego powieściopisarza na polu dramatycznem. Zalety tu i wady mniej więcej te same, co i w powieściach tego autora, z niekorzystnym dodatkiem małej znajomości i małego uwzględniania wymagań scenicznych.

Więc pomysłowi nie można odmówić pewnej oryginalności. Występuje tu młodzieniec z nowemi pojęciami o życiu, tak zwany pozytywista, nazwa, która dla jego otoczenia jest synonimem egoisty i materyalisty w najgorszem tego słowa znaczeniu. Młodzieniec ten, technik z zawodu, poznał i pokochał pewną pannę, rozpoetyzowaną, rozdeklamowaną, rozbujaną w świecie sztuki i poezyi. Pomimo tego rozbujania przecież, nawzajem i pannie podobał się przystojny technik. Z obu stron wskutek tego następuje chęć zbliżenia się do przeciwnych pojęć: technik zabiera się do poezyi, panna do nauki o sadzeniu buraków. Ale gdy technika mają za ubogiego chłopca, polującego na posag panny, pokazuje się w końcu, że wskutek zapisu, który otrzymał od jakiegoś bogatego krewnego, a który chował w tajemnicy, jest on od niej bogatszym. Pokazuje się także, że panna za wiele, jak na tak idealną istotę, zajmuje się pytaniem, czy jej ukochany ma majątek. Pokazuje się w rezultacie, że więcej było poezyi w sercu pozytywnego technika, niż w głowie rozmarzonej panny, dla której poezyą była właściwie tylko poetyczna frazeologia.

Ale wcielenie tego pomysłu w kształty dramatyczne jest bardzo nieudolne. Mnóstwo tu jest rzeczy albo niedopowiedzianych, albo zbytecznych, a co najgorzej niektóre sceny, dobre w pomyśle, rażą w rozwinięciu nadzwyczajną niezręcznością i trywialnością. Taką jest przedewszystkiem scena, w której technik słucha niby to wykładu o poezyi, a panna o burakach. Do ustępów niedopowiedzianych należy zakończenie sztuki, kończy się ona przybyciem na obiad jakiegoś hrabiego, który ani razu przedtem nie pokazuje się w sztuce, i którego moglibyśmy nie widzieć wcale; za to radzibyśmy byli wiedzieć to, o czem nas nie uwiadomiono, a mianowicie czy pozytywista poznał się na podejrzanym idealizmie swojej ubóstwionej, i czy to mu nie przeszkodziło poprowadzić jej do ołtarza.

Komedya Fredry „Ożenić się nie mogę“ w szeregu pośmiertnych komedyi tego pisarza powinna zająć pośrednie miejsce. Brak jej tak oryginalnych i wykończonych charakterów i typów, jakie ma „Wielki człowiek do małych interesów,“ i brak jej także tej elegancyi i żywego przyjemnego kolorytu, jakim się odznaczają „Dwie Blizny.“ W wielu ustępach zakrawa bardzo na farsę; siła jej cała polega przeważnie na intrydze, dość awanturniczo osnutej. Ale żywy humor Fredrowski krąży w żyłach tej sztuki i nadaje jej rumieniec życia i wesołości. Prawda, że pewna dystylacya tego humoru mogłaby być pożądaną; tłustych konceptów jest trochę za wiele, a przytem zbyt są na jeden temat robione; ale takeśmy się przyzwyczaili do nich w komedyach Fredrowskich, że tu rażą one nas mniej, niż gdzieindziej.

Jest przytem w awanturniczej intrydze pomysł głębszy, niż się zdaje na pierwszy rzut oka, jest nawet, powiedziałbym, tendencya moralna, której brzmienie takie: „Bądźcie wyrozumiali dla innych, skoro chcecie, aby inni byli dla was wyrozumiali.“ Fredro wyprowadza na scenę cztery osoby, z których każda ukrywa się z czemś przed inną. Powstaje ztąd naturalnie mnóstwo komicznych starć, które w końcu rozwiązują się w ten sposób, że wszyscy darowują sobie wzajem swoje przewinienia. Pan Gdański, zamożny obywatel warszawski, niegdyś kupiec, żeniąc się z panią Hermenegildą, ukrywa przed nią starannie, że jest wdowcem i że ma dorosłą córkę z pierwszego małżeństwa, pani Hermenegilda bowiem ma nieprzezwyciężony wstręt do wdowców. Taż sama pani Hermenegilda ukrywa przed mężem dawniejszy swój stosunek z niejakim panem Marskim, stosunek zresztą, w którym nic zdrożnego nie było, z którego jednak pozostały Marskiemu listy tej pani. Pani Hermenegilda grając rolę wielkiej pani, stojąc na czele jakiegoś świątobliwego stowarzyszenia, dba ogromnie o opinię świata, nie mogłaby znieść najmniejszego cienia na sobie i dla tego bardzo niespokojną jest o te listy. Dla czego Marski, niegdyś starający się o rękę Hermenegildy, zerwał z nią, tego nie wiemy, a z epitetów, które mu daje pani Gdańska „potwora, niegodziwca etc.“ nie wiele się możemy dowiedzieć; ale to wiemy, że Marski potajemnie ożenił się z Julią, ową dorosłą córką Gdańskiego, chowaną gdzieś w ukryciu, i że młoda para musi ukrywać swoje małżeństwo przed ojcem i macochą, zanim wyrobi sobie ich zezwolenie. Mamy więc powszechne ukrywanie się, wzajemne chowanie przed sobą swoich kłamstw i przewinień, co istotnie jest bardzo komicznym motywem. Kończy się sztuka naturalnie powszechną amnestyą przez wszystkich wszystkim udzieloną.

Z tego streszczenia jednak czytelnik z pewnością nie może odgadnąć, dlaczego sztuka nosi tytuł: „Ożenić się nie mogę“. Otóż trzeba wiedzieć, że w środek grupy czterech osób, o których była mowa, wprowadzoną jest piąta, bynajmniej nie potrzebna do głównej treści komedyi, ale mająca zadanie jeszcze więcej urozmaicić intrygę i podnieść komizm rozmaitych sytuacyi. Tem piątem kołem u wozu jest głupowaty Florek, który jeździ po całym świecie, ażeby się tylko ożenić, chce się koniecznie ożenić, ale ożenić się nie może. Był już bardzo bliskim ożenienia, był już nawet po ślubie z jakąś Węgierką „bardzo piękną, bo o pół głowy wyższą od niego“, ale na nieszczęście dał się spoić na uczcie weselnej, i co się potem stało, tego nie wie, to wie tylko, że nazajutrz znalazł się w niewoli moskiewskiej, (Moskale stali wówczas w Węgrzech) i że miał sposobność o nabajce kozackiej zbyt dokładne powziąć wyobrażenie. Jednem słowem z opowiadania jego można się domyśleć, że był wystrychnięty przez piękną Węgierkę na dudka, które to wystrychnięcie nie pierwszy i nie ostatni raz go spotykało. I teraz ze wszystkich oszukiwanych i oszukujących się wzajem, on jeden jest w rezultacie oszukanym, bo myśląc, że Julia jest panną, stara się o jej rękę i przybywa oświadczyć się jej z bukietem w ręku w chwili, gdy cała rzecz się wyjaśnia. On to przed samem zapadnięciem kurtyny wydaje rozpaczliwy wykrzyknik: „Ożenić się nie mogę“, postawiony przez autora w tytule komedyi.

Obsada komedyi była jak najlepszą. Gdańskiego reprezentował p. Zamojski, Marskiego czyli Mildera p. Kwieciński. panią Gdańską była pani Parżnicka, Julią pani Terenkoczy, a nieszczęśliwym, jąkającym się Florkiem p. Dobrzański.

* * *

Kronika opery ma do zanotowania występy panny Rénée, znakomitej a niesłyszanej jeszcze dotąd we Lwowie śpiewaczki polskiej (nazwisko Rénée jest naturalnie pseudonymem artystycznym.) Szczególnie w „Hugenotach“, w roli Walentyny, miała panna Rénée sposobność okazać wszystkie zalety swego głosu, metaliczność, łatwość i czystość w wysokich tonach, pełność i miękkość w tonach niskich, jakkolwiek nie da się zaprzeczyć, że głos jej należy do słabszych. To też głos ten jakby umyślnie był dobrany do głosu pana Zakrzewskiego, który na pomienionem przedstawieniu cudów dokazywał i prześcigał samego siebie. Tylko deklamacya, a raczej wymowa polska panny Rénée pozostawiała nieco do życzenia, z czego wnosić należy, iż artystka musi rzadko używać ojczystego języka.

J. T.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 17. listopada.

Gdyby Lwów, podobnie jak rok astronomiczny, mógł co tydzień mieć swego planetę panującego, to w ubiegłym tym planetą byłby swawolny Boreasz, który hasając swobodnie po ulicach miasta, powyczyszczał het gdzieś wszystkie śmiecia. Z tej operacyi natury najwięcej skorzystali stróże kamieniczni, patrząc się z uśmiechem na pracę wyręczyciela — miasto wygląda świątecznie, i przybywający p. minister oświaty na poświęcenie gmachu zdegradowanej akademii na szkołę politechniczną, będzie przekonany, że to oczyszczenie leżało w programie jego przyjęcia.

Razem z poruszeniem się niezwykłem warstw powietrza, i w umysłach szanownych Lwowian począł się pewien ruch także wichrowaty, ogarniając naprzód młodzież tutejszych zakładów naukowych. Skutkiem tego czytelnia akademicka dała znak życia obchodząc w dniu 10. listopada dziesięcioletnią rocznicę swego założenia wieczorkiem muzykalno - wokalno - deklamacyjnym. Uroczystość taka z pomocą p. Mikulego udała się bardzo dobrze, a udałaby się jeszcze lepiej, gdyby p. akademik Zimer nie wystąpił z odczytaniem kilku uwag dotyczących obecnego stanu instytucyi. Starsi słuchacze podobno nie bardzo się zbudowali tą mową, mającą w sobie coś zanadto wietrznego polotu z akompaniamentem narzekań na złe czasy, na apatyę dla czytelni i brak funduszów z powodu ciągłego nieudawania się balów i koncertów. Frazeologia o znaczeniu bilardu i słowach pieśni Filaretów „Hej użyjmy żywota“, obróciła całą rzecz w niefortunną i pozbawioną wszelkiej powagi gawędkę. Tymczasem podobno inne tam są powody tamujące rozwój czytelni, powody wewnętrznej dysharmonii, braku serdecznej spojni młodych serc, dla których bratnia zgoda, miłość kraju i nauki powinny być jedynym węzłem, łączącym to wszystko, co prawe i szlachetne. Liczenie na dochody z balów i koncertów uważamy za zbyteczne dla instytucyi młodych akademików, jako należące do nowoczesnych wynalazków uciekania się do pomocy publicznej. Młodzież za czasów Filaretów nie szukała podobnych środków, więcej liczyła na własne siły, mniej była wymagającą; lecz gdy chodziło o wspólny cel — umiała się skupiać po koleżeńsku bez różnicy stanu, zdolności, ubrania i tp. drobnostek, o których kształcąca się młodzież wiedzieć nie powinna.

Panujący Boreasz nad Lwowem zajrzał na walne zgromadzenie Towarzystwa bratniej pomocy techników, podmuchnąwszy wotum nieufności dla wydziału za zaproszenie profesora Tarnowskiego na odczyty na cel towarzystwa. Cieszymy się bardzo, że młodzież nasza ma tyle poczucia dumy i prawdziwego patryotyzmu, niepozwalającego jej korzystać z usług niesympatycznych dla niej osobistości — lecz daleko więcej cieszylibyśmy się z tego, gdyby o tem pomyślał wydział przed zaproszeniem prelegenta, a zgromadzenie obecne swoje wotum zostawiło między czterema murami sali obrad. Przyjąwszy dobrodziejstwo i usługę, nie wypada upokarzać ofiarujących, ktokolwiek oni są... sapienti sat.

Na wesoły nastrój popchnął nas świszczący wiaterek, gdyśmy zobaczyli w teatrze komedyę hr. Fredry ojca „Ożenić się nie mogę“... Farsą jest ta niemoc ożenienia się — to prawda, ale

że się Lwów śmiał serdecznie, to śmiał jak to mówią, do rozpuku. W tych ciężkich czasach i to dobre, a byłoby jeszcze lepsze gdyby nam wolno było dawać oklaski... trudna rada, nawet wśród konstytucyjnych czasów nie wolno, bez ściągnięcia na siebie nazwy *urwisza*. Co, dziwicie się czytelnicy? Daję wam słowo honoru, jedna z tutejszych gazet w sprawozdaniu swem o pierwszej reprezentacyi tak nas nieparlamentarnie nazwała. Mówię nas, bo i uniżony kronikarz bił oklaski i loże biły i krzesła biły... Mój mocny Boże, co się to naraz znalazło tych *urwiszów* we Lwowie. Dzięki jednak Bogu ocalał ów sprawozdawca, trzymając ręce w kieszeniach przez wszystkie trzy akta — inaczej bowiem któżby na publiczność naszę mógł rzucić kamieniem, kogożby anieli pańscy mogli wyprowadzić z tej lwowskiej Sodomy za Łyczakowskie rogatki, gdy gniew Jehowy skaże nas urwiszów na zatracenie. Przy tej katastrofie i słup soli musi przecie odegrać pewną rolę, szanowny sprawozdawco ostrzegamy — nie oglądaj się...

Już kiedy wszystko, co w tym tygodniu stało się złego i dobrego we Lwowie, przypisać mamy wiatrowi, to niech nam wolno będzie jego dobrym powiewom zawdzięczyć hojny datek ks. Leona Sapiehy w kwocie złr. 12000, który ofiarował na budowę nowego szpitalu dziecinnego pod nazwą św. Zofii we Lwowie. W imieniu więc biednych dzieci miasta Lwowa poważamy się szlachetnemu dawcy oświadczyć zupełną wdzięczność za tę ofiarą, która zdaje nam się powinna znaleść wielu naśladowców.

O poświęceniu gmachu szkoły politechnicznej, które się odbyło dnia 15 b m. wobec p. ministra oświecenia i tylu zaproszonych, powiemy w oddzielnym artykule, dając opis nowego gmachu będącego ozdobą naszego miasta, treść przemówień w gmachu i na lukull'usowej uczcie danej przez nowego rektora, tudzież harmonii odspiewanych utworów muzycznych. Takie rzeczy, nim sobie z nich można zdać sprawę, potrzebują pewnego przetrawienia!

* * *

We wtorek odbyło się pierwsze w tym roku posiedzenie towarzystwa przyrodników im. Kopernika. Prof. Niedźwiedzki wobec licznie zgromadzonych członków towarzystwa mówił o nafcie w Ameryce i o pokładach geologicznych towarzyszących źródłom naftowym. Odczyt prof. Niedźwiedzkiego miał na celu zwrócenie uwagi słuchaczy na sprawozdanie jednego z geologów austryackich z wystawy filadelfijskiej z działu górniczego a w szczególności naftowego. Po odczycie wywiązała się ożywiona dyskusya, której głównym przedmiotem było tworzenie się nafty. W dyskusyi wzięli udział pp. prof. Radziszewski, Syrski i prel. Niedźwiedzki. Następne po siedzenie z odczytami technicznymi odbędzie się w przyszły wtorek, 20 listopada w nowym gmachu *Szkoły politechnicznej* (na dole, w zachodniem skrzydle, w sali Nr. 3.) Na porządku dziennym odczyty pp. Gostkowskiego i Br. Abakanowicza.

BIBLIOGRAFIA

polska.

— *Afrykanka* (libretto) Opera w pięciu aktach, słowa E. Scribego muzyka J. Mayerbeera. Wydanie drugie dyrekcyi teatru lwowskiego 25 ct.

— *Biblioteka historyczna.* Szlosser. Dzieje powszechne, tom dwudziesty, zeszyt 122, 123. Lwów, nakładem Księgarni Polskiej 1877. Prenumerata kwartalna 2.10 z przesyłką 2.22.

— *Dwutygodnik Polski.* Wychodzi każdego 1. i 16. w miesiącu. Prenumerata w miejscu kwartalnie 1.złr. na prowincyi 1.25. ct. numer pojedyczy 20. ct.

— *Hugenoci* (libretto.) Opera w pięciu aktach, muzyka Meyerbeera. Wydanie drugie dyrekcyi teatru lwowskiego 25.

— *Kalendarzyk kieszonkowy* na rok zwyczajny 1878 25 cnt.

— *Kalendarzyk malutki* na rok 1878 25 ct.

— *Kalendarz powszechny* galicyjski na rok 1878. rocznik dwudziesty dziewiąty 50 ct.

— *Kalendarz pszczelniczo-ogrodniczy* na rok 1878. Wydany staraniem i nakładem towarzystwa pszczelniczo ogrodniczego Rocznik I. 50 ct.

— *Manifest posła Pawła Popiela* 8ka str. 19 10 ct.

— *Ollendorfa* Gramatyka francuska. Trzecie poprawne wydanie opracowała i przerobiła Stefania Wechslerowa. Zeszyt 1 - 208. 8ka Cena całego dzieła 2.20 ct.

— *Słowacki J.* Jan Bielecki. Powieść narodowa oparta na podaniu historycznem. — Grób Agamemnona (56 tomik Bibl. Mrówki.) 16ka. str 32. Lwów, nakład Księgarni Polskiej 1878. 10 ct.

— *Żydówka* (libretto.) Opera w pięciu aktach Muzyka Halévy'ego. Wydanie drugie dyrekcyi teatru lwowskiego 20 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— Dziejów powszechnych Szlossera wyszedł z druku zeszyt 124.

— „Krótki rys początków i postępu anatomii w Polsce“ — pod tym tytułem wyszło w Wilnie dzieło pióra p. A. F. Adamowicza.

— Wędrowiec donosi, iż ks. biskup Krasiński, autor gramatyki polskiej, która przez czas pewien była jedynem dziełem elementarnem skróconem, napisał teraz na wygnaniu obszerne studyum nad synonimologją polską.

— P. Wł. Żeleński rozpoczął w Kłosach druk studyum nad trójcą genjuszów muzycznych: Haydnem, Mozartem i Beethovenem.

— Towarzystwo Zachęty Sztuk pięknych w Krakowie, przeznaczyło na przyszłoroczne premium dla swoich członków kopią akwareli Kossaka „Rewera Potocki.“ Wykonanie tej kopii poruczone zostało najznakomitszemu zakładowi chromolitograficznemu Lemerciera w Paryżu.

— W Monachium otwarto niedawno nowe ze wszech miar godne uwagi muzeum, mogące służyć niejako za uzupełnienie słynnej monachijskiej gliptoteki. Muzeum to mieści w sobie bogate zbiory kopii gipsowych z rzeźb i pamiątek architektonicznych Grecyi, Azyi mniejszej i Rzymu, począwszy od najdawniejszych czasów aż do upadku cesarstwa rzymskiego.

— Pochodnie Nerona w podróży swej na wystawę paryzką zawadziły o Kraków, gdzie szczęśliwsi od nas Krakowianie podziwiać będą to arcydzieło, które my zapewne nie rychło ujrzymy.

— Tytus Maleszewski wystawił w Warszawie nowe portrety: Jana Matejki, Henryka Siemiradzkiego i Antoniego Wagi. Pisma warszawskie temu ostatniemu oddają największe pochwały.

— Dowiadujemy się, iż Jan Matejko powraca zupełnie do zdrowia a wszelkie niebezpieczeństwo minęło.

— Do życiorysu Sebastyana Klonowicza. Czytamy w Gazecie lubelskiej. Wszyscy biografowie Klonowicza kładą datę jego śmierci na r. 1608. Tymczasem dokument znajdujący się w aktach wojtowsko-ławniczych lubelskich, przechowywany w tamtejszem archiwum akt dawnych, świadczy, że słynny autor "Worka Judaszowego“ i „Flisa“ nie żył już w r. 1603. Z mowy też w tym dokumencie o jego kamienicy i o płaceniu długów wnosić można, że nędza poety nie była tak wielką, jak ją podanie ubarwiło. — Sam dokument wyszukany przez p. J. Detmerskiego, pisany w języku łacińskim, w polskim języku brzmi jak następuje: „Działo się w sobotę przed niedzielą głuchą roku 1603. Pokwitowanie sukcesorów Sebastyana Klonowicza. Przed urzędem wójtowsko-ławniczym, stawiwszy się osobiście sławetny Paweł Brukman, mieszczanin i kupiec gdański, jawnie, dobrowolnie i wyraźnie zeznał: Iż on dostatecznie i w zupełności został zaspokojony przez sławetnego niegdyś Sebastyana Klonowicza, mieszczanina i rajcę lubelskiego, oraz jego małżonkę Agnieszkę, w długu 130 złotych polskich, w którym to długu miał sobie w zastaw oddany przez nich sklep, w kamienicy ich narożnej „Wiślicka“ zwanej, w rynku miasta Lublina położonej, a to na lat cztery, podług aktu przed urzędem radzieckim lubelskim, przez tychże małżonków Klonowiczów zeznanego. Z których to przeto stu trzydziestu złotych polskich tychże niegdy Sebastyana Klonowicza i małżonkę jego Agnieszkę, oraz ich dzieci i spadkobierców kwituje i wolnymi czyni na wieczne czasy i akta w tym przedmiocie przyznawane na zawsze znosi, umarza i unicestwia.“

— Czytelnicy wiedzą już z pism codziennych o katastrofie jaka spotkała znakomitego chirurga naszego prof. warszawskiego uniwersytetu dr. Girsztofta, który we własnem pomieszkaniu został napadnięty przez zecera A. Sroczyńskiego i ugodzony nożem bardzo niebezpiecznie.

Powszechny szacunek jaki otaczał profesora tak ze względu na jego głęboką naukę, jak i nieskazitelny charakter zainteresował Warszawę do najwyższego stopnia. Pisma warszawskie podają biuletyny o stanie zdrowia czcigodnego profesora. Najświeższe wiadomości przytaczamy:

W tej chwili choremu nie grozi niebezpieczeństwo.

Na nieszczęście jednak, nie zostało ono usunięte, lecz tylko oddalone do dni... kilku.

Wówczas nastąpi kryzys, a za rezultat nikt ręczyć nie może.

Transfuzyi, którą miano uskutecznić, nie uważano za właściwe dopełnić.

Obandażowano tylko arteryę.

Dodamy tu jeszcze raz, iż wypadek z dr. Girsztoftem obudził nadzwyczaj głębokie wrażenie we wszelkich sferach.

Przy łożu ulubionego profesora utrzymują służbę dniem i nocą jego uczniowie.

Tysiące osób dowiaduje się co chwila o stanie zdrowia pacyenta.

Ciekawe dla psychologa studyum przedstawia osobistość Aleksandra Sroczyńskiego, który dopuścił się zamachu na życie szanownego profesora.

Badany natychmiast po oddaniu się dobrowolnem w ręce sprawiedliwości, czynił on zeznanie z zupełnym spokojem i przytomnością, która zdaje się wyłączać stanowczo wszelkie przypuszczenie jakiejkolwiek umysłowej choroby.

W Sroczyńskim, w jego sposobie zachowywania się i wyrażania nie znać najmniejszego śladu rozdrażnienia — o czynie przez siebie spełnionym opowiadał on śmiało i spokojnie, jak o rzeczy zupełnie obojętnej.

Między innemi zeznaniami ważnem jest to, iż nóż, użyty do spełnienia zamachu, nabył on w dzień spełnienia zbrodni o godzinie 9ej rano, a więc na kilka godzin przed jej spełnieniem, działał więc nie pod wpływem chwilowego uniesienia, które do pewnego stopnia tłómaczyćby mogło krwawą zemstę, lecz przystąpił do niej z namysłem, rozwagą i zupełnie zimną krwią.

Nie opuściła go ona nawet po spełnieniu występnego czynu.

Gdy profesor ciężko raniony, wypytał mordercę, co go spowodowało do targnięcia się na jego życie, i objaśnił go, że w sprawie o jaką mu chodzi, powinien udać się do bezpośredniego swego zwierzchnika dyspozytora drukarni, mogącego ją załatwić, Sroczyński udał się do tego ostatniego i nie zastawszy go, powrócił do mieszkania profesora, otoczonego już wtedy przybyłymi lekarzami.

Pomimo groźnego niebezpieczeństwa i osłabienia spowodowanego nadzwyczajnym upływem krwi, profesor zapytał S., po co tu jeszcze raz przyszedł i kazał mu oddalić się, jakoż Sroczyński odszedł, niezatrzymywany przez nikogo i udał się po pewnym czasie do kawiarni, zkąd wyszedłszy, udał się do najbliższego cyrkułu.

Przed spełnieniem zbrodni, jak sam opowiada, stał dość długo przed domem, w którym mieszka dr. Girsztowt, widział go wchodzącego do bramy i we dwadzieścia może minut potem sam wszedł za nim.

Stowarzyszenia.

— *Sprawozdanie Towarzystwa wzajemnej pomocy uczniów uniwersytetu Jagiellońskiego za r. 1876/7.*

Uczniem nazywa się gimnazyasta, dla tego, że się uczy — słuchacz zaś uniwersytetu nie uczy się, ale studyuje i dla tego nazywa się *studentem*. Wprawdzie można powiedzieć, że człowiek całe życie uczy się, ale tu nie o tem uczeniu się mowa. *Uczeń* uczy się lekcyi, student lekcyi nie uczy się, tylko studyuje przedmiot pod kierunkiem profesorów.

Lat już 12 istnieje Towarzystwo i liczy obecnie członków 362. Posiada żelaznego kapitału 11.328 zł., na powiększenie którego wpływa corocznie $^1/_8$ przychodu rocznego (w r. 1877 złr. 200). W ogóle przychód w r. 1877 wynosił 3416 złr. 70 ct., powstał zaś z wkładek członków 562, od członków honorowych 212. Odsetki funduszu żelaznego 625. Zwrócone pożyczki i procenta 841.47. Dochód z odczytów 293.90. Dochód z balu 729. Dar Klobassy 100 złr. i inne drobne pozycye. Koszta administracyi 290 złr., w to wchodzą wydatki lekarskie 126 złr., pogrzeb i inne wydatki. Udzielono pożyczek w r. ubiegłym 2542. (Szkoda że nie wyszczególnia sprawozdanie jaka kwota użytą została na zapomogi, a jaka na pożyczki.) Odsetki z funduszu żelaznego, które wyniosły 625 złr., obracane bywają na nagrody za zadania konkursowe. Ogólny stan majątku z końcem roku 1876/7:

Fundusz żelazny	.	11.328
Fundusz nagród	.	524
Fundusz pożyczkowy	.	545
Zaległe pożyczki bezprocentowe		3.539
Zaległe pożyczki procentowe	.	16.737
Zaległe odsetki	.	2.997
Razem majątek wynosi	.	35.711

Za mało widzimy pożyczek bezprocentowych (przypuszczamy że to są zapomogi) w stosunku do pożyczek procentowych. Wszakże głównem zadaniem Towarzystwa jest wspieranie ubogich kolegów.

Towarzystwo liczy 103 członków honorowych, między tymi 20 JWnych hrabiów, 3 JOnych książąt, 2 Ekscelencye biskupie, a reszta WŻni. W przychodzie zaś figuruje, że tych 103 JWnych, JO., Wnych i Eksc. wspierają Towarzystwo 212 złr., tylko p. *Karol Klobassa* z Zaręcia nadesłał 100 złr.

Porównywając stan Towarzystwa Bratniej pomocy lwowskiej (patrz nr. 44 Tygodnia) z krakowskiem, widzimy, że to ostatnie nierównie pomyślniej się rozwija, pomimo, iż liczba studentów uniwersytetu krakowskiego jest nierównie mniejszą.

Nakoniec musimy podnieść słuszny żal młodzieży do publiczności krakowskiej, która nie umiała korzystać z ofiarowania się ubogiej młodzieży z lekcyami prywatnemi, pomimo, iż takowe przedstawiały najlepsze gwarancye.

Nekrologia.

† Walerjan Wróblewski (Koronowicz) autor znakomitego dzieła *Słowo dziejów polskich* umarł dnia 9. listopada we wsi Piłki na Wołyniu. — Urodzony w 1809 r. w dziedzicznej wsi Zielinka, po ukończeniu nauk w słynnem gimnazyum podolskiem w Winnicy, osiadł na wsi, trudnił się gospodarstwem a zarazem z zamiłowaniem oddawał się studyom histrycznym. Po raz pierwszy wystąpił w *Ateneum* wydawanem przez J. I. Kraszewskiego w Wilnie zbijając moskiewsko-arystokratyczne Henryka Rzewuskiego poglądy. Z większych prac zwrócił na siebie uwagę wydając trzytomowe dzieło p. t. *Słowo dziejów polskich* wyszłe w Lipsku 1858 r. ale z zamiarem rozpowszechnienia pod zaborem moskiewskim, więc zastosowane do wymagań cenzury, a wskutek tego zmienione niezmiernie. Julian Bartoszewicz, który znał rękopism powiada „iż inaczej wygląda w rękopiśmie niż w druku“. Cenzura jeszcze powycinała kartki i tak zdefektowane dzieło ukazało się w handlu. Henryk Schmidt, oddając zasłużone pochwały pracy Koronowicza, zarzuca mu niedostateczne przestudyowanie źródeł. W każdym razie dzieło Koronowicza jest jedną dotąd filozofią dziejów polskich. Napisane z nieporównanem zamiłowaniem przeszłości, ognistą wyobraźnią, stanowi, rzec można, największy poemat dziejowy — i bez przesady zaliczonem być musi do najszczytniejszych dzieł literatury polskiej. Czy pozostawił jakie rękopisma, dotąd nie wiemy. Żałować należy iż *Słowo dziejów polskich* prawie jest nieznane w naszej prowincyi.

† *Polikarp Girsztowt*, prof uniwersytetu warszawskiego, umarł d. 12. bm. o godz. 6. wieczorem. Bliższe szczegóły pełnego zasług życia jego podamy w przyszłym numerze.

ROZMAITOŚCI.

List królewica Jakóba Sobieskiego:

JE. MCI. PANU STAROŚCIE SZCZUROWIECKIEMU.

Mnie Wielce Mci Panie Starosto Szczurowiecki:

Jako wszelakie Szczęścia y pomyślności ludzkie, temu się przyznać y przypisać mają, kto ie z woley swoiey zagaia (?) y pożądane sprawuje skutki. Tak my biorąc pierwszy od Nieba pochop. Im tylko Samym vota Nasze debemus. Pro ztąd y Naiasnieyszych Rodziców Naszych zdanie y tych oraz łaskawa Propensia, od której ta Fortuna pochodzi. Gdy tedy Naiaśniejszą Xiężniczkę Imci Neyburską in Sociam vitae brać nam przychodzi: Jako donosimy tę szczęśliwość Naszą WmmPu. Tak oraz upraszamy, abyś ad Solennia Aktu tego przybyć raczył, y dopomógł Nam tey Szczęśliwości, która w Naiaśniejszym Domu Naszym refulget. Naznaczony jest do Aktu tego w Warszawie dzień 25ta Februarij. Gdzie że WIm Pan y dla Ozdobey Naszey y Partycypatiey tak pomyślnych Succesów stawić się zechcesz, niewątpiemy: któremu to życzliwością Naszą zawsze kompensować będziemy.

Datt w Żółkwi die 17 Xbris 1690.

WmmP. wielce życzliwy
Jakób Ludwik
Królewic

Panna Marya Kramsta, ze znanej rodziny kupieckiej na Szląsku, przeznaczyła 80,000 talarów na wsparcie chorych, lub chwilowo nie mających posady nauczycielek na Szląsku.

O wielkim pożarze, który niedawno zniszczył w Washintonie gmach urzędu patentowego, podają dzienniki amerykańskie następujące szczegóły. Gmach, częściowo zniszczony pożarem, był z pewnością najpiekniejszem na świecie muzeum wynalazków. Pomiędzy osobliwościami jakie mieścił, znajdował się pierwszy telegraf Morsego z r. 1837, pierwsza żniwiarka, pierwsza maszyna do szycia itd. Telegraf ów, jak również inne stare a cenne wynalazki, oraz oryginalny tekst ogłoszenia niezawisłości Stanów Zjednoczonych, zostały podczas pożaru przeniesione w bezpieczne miejsce. Wyratowano także tłocznią drukarską Franklina, uniform generała Washingtona i inne szanowne relikwie. W górnych piętrach gmachu pochłonął ogień przeszło 80 tysięcy modelów, zebranych w ostatnich 36 latach. Że nie zgorzał cały gmach, zawdzięczyć należy tej jedynej okoliczności, że podłoga w sklepach modelów spoczywała na żelaznych belkach i sklepieniach, nie mógł więc jej przebić dach który runął po przepaleniu belkowania. Szkoda oceniona na 300 do 500 tysięcy dolarów.

Spadek po Dubochecie, zmarłym w Paryżu dyrektorze Towarzystwa gazowego, wynosić ma 80 miljonów franków, z których 25 milionów miał Dubochet zapisać Leonowi Gambecie. Z życia zmarłego milionera przytaczamy ten tylko szczegół, że ogromnej fortuny owej dorobił się Dubochet jedynie wytrwałą pracą, w roku 1813 bowiem przybywszy z kantonu Waadt, gdzie się urodził, do Francyi, młodzieńcem 21-letnim, nie posiadał wcale majątku, a lubo był bardzo biegłym w prowadzeniu interesów bankowych, po wielu latach dopiero położył dopiero podwaliny miljonom, które pozostawił. Za Ludwika Filipa był komendantem batalionu gwardyi narodowej i należał do opozycyi. Później przyłączył się do stronnictwa republikańskiego, lecz dopiero po ostatniej wojnie jako charakter polityczny zjednał sobie uznanie. W czasach ostatnich był kasyerem republikańskiego komitetu wyborczego.

Socyalistyczna literatura dziennikarstwa niemiecka wzbogaconą została od 1. października r. b. następującymi pismami: Koenigsberger Freie Presse, Schleswig Holsteinische Volkszeitung, Pfälzisch-Badisches-Volksblatt, Muldenthaler Volksfreund, Volksblatt für Borna, Frohburg, Lausigk, Groitsch-Pegauer Volksblat, Zeitzer Volksfreund, Volksblatt für das Herzogtum Altenburg, Voigtländische Freie Presse. Dalej wychodzą w Wiedniu: Der Socialist w Zurychu: Der Beobachter der sozialen Literatur. Wychodzący dotąd trzy razy tygodniowo Nürnburg-Fürther Socialdemokrat wychodzi obecnie codziennie, a nareszcie postanowili socyaliści w Bielefeldzie wydawać od 1go stycznia r. p. nowy organ swego stronnictwa.

Jeżeli tak dalej pójdzie to Niemcy będą wkrótce wyglądały inaczej.

Pielgrzymki muzułmańskie. Konsul angielski w Dżyddzie złożył rządowi swemu ciekawe sprawozdanie o pielgrzymkach ludów mahometańskich do świętych miast Mekki i Medyny. W roku 1876 pielgrzymi ściągać się zaczęli już około połowy sierpnia, a ostatnia ich drużyna przybyła, stosownie do przepisów koranu, w dniu najkrótszym w roku. Do przystani Dżyddy przybyło pielgrzymów 28.799, oprócz tego zaś drogami karawanowemi około 1000 Malajczyków, 1700 Afrykanów północnych, 2200 Egipcyan i 1400 Arabów z nad morza czerwonego. Persów było wszystkiego 1700, Indów 1500. Na uroczystości końcowej pod Eid-el-Akbar w Munie znajdowało się przeszło 200.000 wyznawców proroka. Wprawdzie pielgrzymi, którzy wylądowali w Dżyddzie, przywieźli z sobą ospę nagminną, jednak epidemii nie było w Mekce.

Ze Stambułu donoszą, że jedną z przyczyn najnowszego pokojowego usposobienia sułtana jest ta okoliczność, iż po Bajramie zaślubił on czwartą żonę, Czerkieskę wielkiej piękności, i że pragnie miodowe miesiące przepędzić w ciszy i pokoju.

Petersburgskija Wiedomosti donoszą, że w r. 1878 postanowiono w petersburgskiej mennicy wygotować 19,500,000 rs. złotej monety półimperyałów — oraz trzechrublowej za 900,000 rs. — ogółem za 20,400,000 rs. — srebrnej zaś monety za 6,700,000 rs. — miedzianej za 700,000 rubli.

Osobliwszy wąż. Dyrektor muzeum marsylskiego Hekkel, przysłał niedawno jak donoszą dzienniki do paryskiego „Jardin des Plantes“ nadzwyczaj rzadki egzemplarz węża, pierwszy raz do Europy sprowadzonego. Wąż ten ma długości około dziesięciu polskich ćwierci i odpowiednią grubość. Skóra płazu pokryta jest szeregiem kolców bladoniebieskiej barwy. Co jest jednak najciekawsze, to że wąż ten do pewnego stopnia potwierdza wieść żeglarzy o słynnym wężu morskim, albowiem żyje przeważnie w głębokich wodach morskich.

Na pomnik Giordana Bruno otrzymaliśmy od uczniów szkoły M. Magdaleny we Lwowie 5 złr.

Treść Nr. 12.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)   Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.